Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

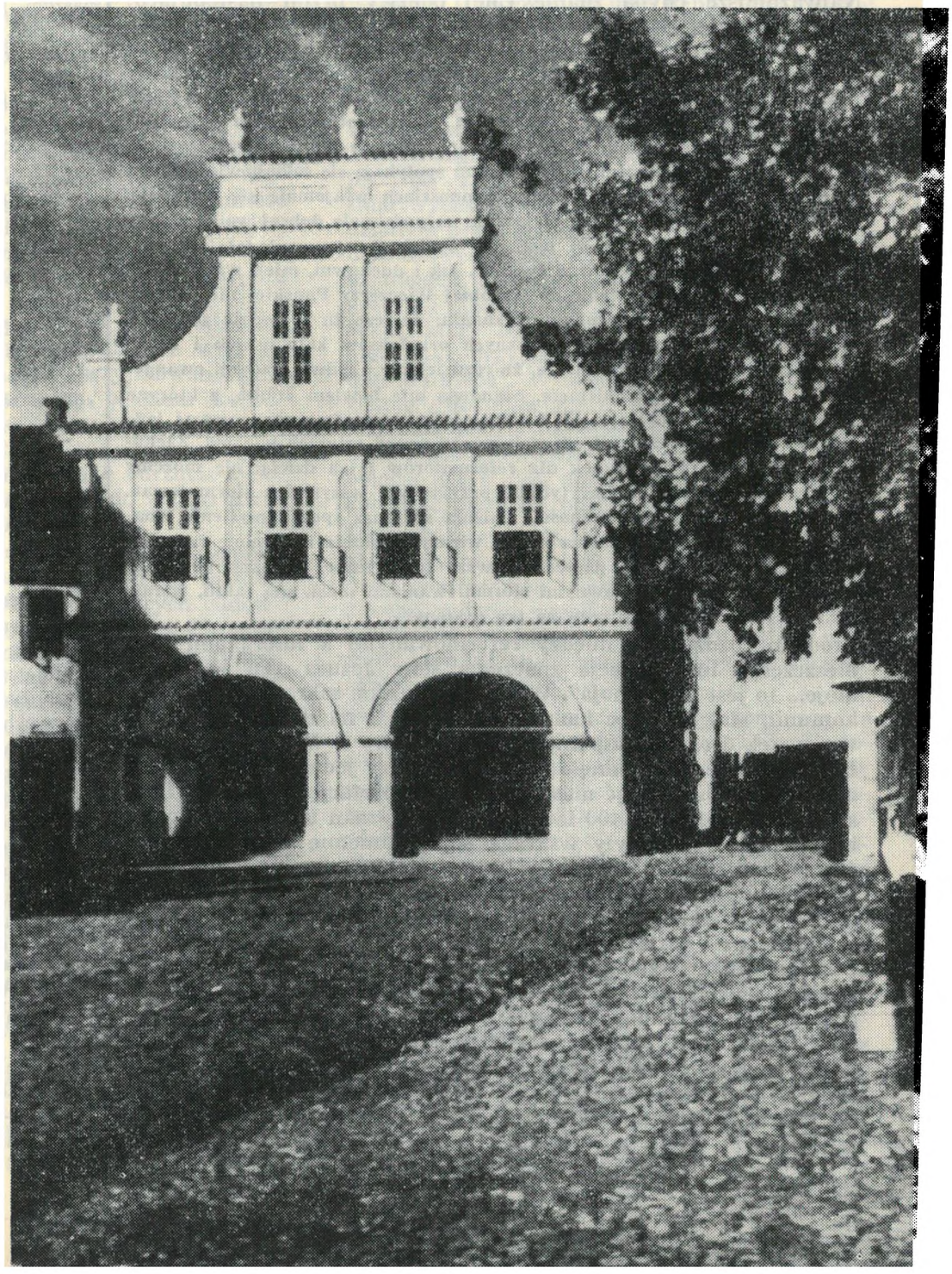

4

70

Rok XIV (XXVIII)

NASZYM ZDANIEM

Ku zgodzie

W kwietniu przypada ważna rocznica: 400-lecie Synodu Sandomierskiego, podczas którego podpisano Ugodę pomiędzy braćmi czeskimi, reformowanymi i luteranami. Kościoły Ewangelicko-Augsburski i Ewangelicko-Reformowany przygotowują się do uroczystych obchodów, zapraszając do wzięcia w nich udziału również inne wyznania protestanckie. Czy projektowane obchody będą jednym więcej fajerwerkiem na cześć chlubnej przeszłości? Gdy miną uroczyste dni, gdy przebrzmią wzniosłe mowy, czy wszystko wróci do dawnego, ustalonego koryta, gdzie leniwie toczy swe wody codzienność?

Podstawy do mniemania, że będzie inaczej stwarza dokument, wydany przez Synody obu Kościołów ewangelickich — „Jedność Ducha w spójni pokoju". Tekst jego drukujemy osobno. Tutaj chcielibyśmy zwrócić uwagę na jeden szczególnie istotny, naszym zdaniem, fragment odezwy.

Najważniejsze chyba zdanie całej odezwy brzmi następująco: „Oba Kościoły pragną służyć wzajemnie swym wiernym tymi dobrami, które posiadają: — Słowem Bożym przez wspólnotę kazalnicy, — sakramentami przez wspólnotę chrzcielnicy i Stołu Pańskiego". Dla wielu z nas zdanie to nie przynosi nic nowego, jest tylko potwierdzeniem stanu, który od dawna istniał w praktyce. Jest wielu luteran, ochrzczonych przez duchownych reformowanych, są reformowani, których konfirmował duchowny luterański, przy jednym Stole Pańskim spotykają się członkowie obydwu wyznań, a duchowni przy różnych czynnościach wzajemnie się zastępują. To wszystko jednak działo się wyłącznie na podstawie dobrej woli i znamy przypadki, że jeśli tej dobrej woli nie było, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Niektórzy zaś, zarówno świeccy, jak i duchowni, mieli wątpliwości, czy na przykład przystąpienie do wspólnej Wieczerzy Pańskiej nie oznacza sprzeniewierzenie się własnemu wyznaniu. Jeszcze tu i ówdzie pokutuje niesławny duch Westphali, bezdusznych ortodoksów kalwińskich i luterskich, który nie pozwala dostrzec, że rozdzielanie obydwu tradycji ewangelickich jest dziś anachronizmem. Stanowią one bowiem źródła, z których czerpiemy równie bogate myśli i wobec których musimy zachowywać jednakowy krytycyzm, jako do zjawisk sprzed ponad czterech wieków. Zachowując cały należny szacunek dla reformatorów i ich dzieła, nie możemy po przeszło 400 latach bezkrytycznie przyjmować wszystkich sformułowań. Zmieniają się czasy, okoliczności, zmienia się nasz sposób myślenia, znaczenie słów, zmienia się zakres naszej wiedzy, a zdania i definicje raz sformułowane pozostają na papierze zawsze takie same. Dystans pomiędzy współczesną postawą a dawnymi sformułowaniami musi, siłą faktu, wzrastać. Czy można zamykać oczy na ten dystans?

Źródłem rozdźwięku między reformowanymi a luteranami była nieszczęsna interpretacja znaczenia słów Jezusa „To jest ciało moje... to jest krew moja". Wieczerza Pańska, sakrament jedności, komunii, stał się więc kamieniem obrazy i na długie wieki legł w poprzek drogi ku wspólnocie. Od rozmowy w Marburgu między Lutrem a Zwinglim minęło lat 441. Teolodzy jednej i drugiej strony umieją dziś przyjąć niesprzeczną interpretację Wieczerzy Pańskiej. Przez przeszło 400 lat dzieje obu wyznań biegły odrębnymi korytami i wytworzyły wskutek tego odmienne tradycje, różne środowiska ludzkie, powstały nowe, zupełnie inne bariery, których stopniowe usuwanie nie powinno jednak stwarzać trudności nie do pokonania. Podkreślone przez nas zdanie odezwy Synodów wyraźnie precyzuje zasadę interkomunii między obu Kościołami i kładzie kres wszelkim wątpliwościom co do możliwości ścisłej więzi, a nawet faktycznej, duchowej jedności, pomimo odrębności organizacyjnej. Zapowiedziana w odezwie współpraca we wszelkich dziedzinach, jak w pracy Synodów, w kształceniu duchownych, w wychowaniu dzieci, w wydawnictwach, w działalności społeczno-charytatywnej, pozwala przypuszczać, że stopniowo ustępować będą wszelkie przeszkody na drodze do pełnej wspólnoty.

CO W NUMERZE?

Na s. 5 znajdą Czytelnicy odezwę dwu Kościołów ewangelickich, wydaną z okazji jubileuszu Ugody Sandomierskiej. Fakt wydania tej odezwy jest wydarzeniem znamiennym i sądzimy, że ważkie słowa zawarte w treści dokumentu będą miały wpływ na dalsze losy ewangelicyzmu w Polsce, nie mówiąc o tym, że spotkają się z żywym oddźwiękiem wśród Kościołów za granicą. Na temat doniosłości odezwy wyrażamy obok własną opinię — NASZE ZDANIE.

Sądzimy, że warto zwrócić uwagę Czytelników na kazanie pt. „Alternatywa" napisane przez osobę świecką, a do tego ... kobietę, co na naszym, polskim terenie zdarza się nieczęsto. Autorka ukazuje nam alternatywę: albo przyjmiemy wiarą całego Chrystusa — ukrzyżowanego, zmartwychwstałego, siedzącego na niebiosach, czyli Króla i Pana — albo ... bez tego ryzykownego wyznania nie ma w ogóle wiary, nie ma w ogóle Kościoła.

Ks. Bogdan Tranda polemizuje (na s. 6) z artykułem ks. bpa Władysława Miziołka. W dobie rozwoju ekumenizmu nie wolno pozwalać sobie na dezinformację, ani na poniżanie drugiej strony. Sądzimy, że na takie wypadki należy reagować w sposób zdecydowany i nie cofać się nawet przed operacją bolesną, w nadziei, że przyczyni się ona do uzdrowienia. Ekumenia bowiem nie polega ani na głaskaniu, ani na zacieraniu sprzeczności.

W ankiecie na temat modlitwy (s. 8) zabierają głos trzy następne osoby, z których dwie są członkami Kościoła rzymskokatolickiego.

W dziale DLA NIETEOLOGÓW prezentujemy następną sylwetkę: Dietrich Bonhoeffer, jeden z najciekawszych ludzi i teologów XX wieku, został 25 lat temu zamordowany przez hitlerowców za udowodniony udział w spisku na Hitlera i za działalność antyfaszystowską. Jego dorobek więzienny jest dzisiaj dla wielu chrześcijan tym czynnikiem, który ułatwia możność odnalezienia się i działania we współczesnym świecie i Kościele.

NASZA OKŁADKA:

Sandomierz. Dom, w którym dnia 14 kwietnia 1570 r. przedstawiciele trzech wyznań: bracia czescy, luteranie i reformowani — podpisali akt Ugody Sandomierskiej.

BARBARA STAHL

Alternatywa

„Weźmiecie moc Ducha Świętego, kiedy zstąpi na was, i będziecie mi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi. I gdy to powiedział, a oni patrzyli, został uniesiony w górę i obłok wziął Go sprzed oczu ich. I gdy tak patrzyli uważnie, jak On się oddalał ku niebu, oto dwaj mężowie w białych szatach stanęli przy nich i rzekli: Mężowie galilejscy, czemu stoicie, patrząc w niebo? Ten Jezus, który od was został wzięty w górę do nieba, tak przyjdzie, jakoście Go widzieli idącego do nieba".

Dz.Ap.1:8-11.

„Albo cały Chrystus, albo zwątpienie" — powiedział Lavater. Te słowa, wyrzeczone tak dawno, dziś mówią do nas krzykiem: „Albo cały Chrystus, albo zwątpienie!".

Żyjemy w czasach, gdy wiara w człowieka, w jego możliwości, siły, rozum, wiedzę i intelekt — sięga chyba szczytu. Zakochaliśmy się w naszym rodzaju, ale nie tą miłością, o której powiedział Jezus, że jest największym przykazaniem. Nasza miłość grozi ubóstwieniem człowieka i odbóstwieniem Boga. To jest miłość zła, nierozsądna, podsuwająca zwątpienie szybciej niż przypuszczamy. To zwiątpienie dotknęło już wielu, choć może jeszcze o tym nie wiedzą.

Ewangelia — radosna nowina o narodzeniu, życiu, śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Pana — dziś przyjmowana jest przez wielu z przedziwnym brakiem konsekwencji. Stosując kryterium rozumu ludzkiego, niby-wierzący człowiek skłonny jest przyjąć pewne partie Pisma św., a inne odrzucić tylko dlatego, że kłócą się one rzekomo z jego zdrowym rozsądkiem lub wiedzą.

Ponieważ dzisiejsza wiedza medyczna dysponuje przypadkami uzdrowień podobnych w zewnętrznej postaci i formie do niektórych cudownych uzdrowień dokonywanych przez Chrystusa i Jego uczniów — nic nie stoi na przeszkodzie, by uwierzyć, że w tej kwestii słowa Ewangelii są wiarygodne. Wskrzeszenie Łazarza nastęcza już więcej kłopotów, no bo żeby to był chociaż letarg... Ale nie; Jezus przywrócił do życia kogoś, czyje ciało znajdowało się już w rozkładzie, a to jest przecież niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, więcej — z naturą i jej prawami. A co powie n a t u r a na Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie!

Dle wielu ludzi te dwa fakty są zgorszeniem. Skłonni przyjąć ewangelię o życiu Jezusa do momentu Jego męczeńskiej śmierci na krzyżu, potykają się i padają w chwili, która dla wierzącego jest jak skrzydła przypięte u ramion; największy triumf i zwycięstwo, ostateczne dopełnienie się aktu i s e n s u zbawienia — zmartwychwstanie i wniebowstąpienie — są dla wielu kulą u nogi. A czy my nie odczuwamy czasem ciężaru tej kuli? W jakim stopniu wydarzenia na Golgocie i górze Oliwnej są dla nas realną, o niesłychanej wadze i znaczeniu, rzeczywistością, a w jakim stopniu skłonni jesteśmy traktować je jako happy end pewnej pięknej, bardzo pouczającej i tak odległej historii, że aż prawie nieprawdziwej?

Kto dziś patrzy w niebo? Jakże oddaliliśmy się od tych jedenastu, którzy tak zapatrzyli się w górę, w pragnieniu i tęsknocie zatrzymania Najbliższego, że przez chwilę zapomnieli o swojej roli i posłannictwie głoszenia żywego, zmartwychwstałego Jezusa, który jest zapowiedzianym przez pisma Chrystusem, Królem i Panem uniwersalnego Królestwa. Przypomnieć im to musieli dwaj mężowie w białych szatach, mówiąc: „Czemu stoicie patrząc w niebo? Ten Jezus, który od was został wzięty w górę do nieba, tak przyjdzie, jakoście Go widzieli idącego do nieba". W ten sposób sprowadzeni „na ziemię", do obowiązków i zadań, których wypełnienie będzie najlepszym dowodem ich miłości i posłuszeństwa Temu, który odszedł, ale obiecał być z nimi do końca świata — idą wykonywać pierwsze polecenia.

Dziś nie trzeba nas sprowadzać na ziemię. Zaabsorbowani, zagonieni, przejęci ważnością codziennych zdarzeń i spraw, zbyt często tracimy z oczu zadanie przed nami postawione i cel ostateczny, ku któremu zmierzamy. Może więc dziś bardziej na czasie byłoby zawołanie: „Patrzcie w niebo!".

Są chwile, które niejednemu przypominają, że poza kolorem niebieskim, tam „w górze" powinno znajdować się Coś Więcej. Zadzieramy więc głowę i w nadziei natychmiastowego ratunku — wołamy! Jakże straszny musi być moment odkrycia, że niebo jest puste, a Ten, który miał załatwić nasze życzenia i bezkonfliktowo rozwiązać problemy — milczy. Trudno jest bowiem zrozumieć, że cisza, jaka zapanowała po wołaniu, jest pustką naszej duszy, niemotą naszego serca, brakiem, który tkwi w n a s. Stokroć łatwiej ciężarem milczenia obarczyć Tego, o którym mówią, że „umarł, więcej — zmartwychwstał, jest po prawicy Boga, wstawia się za nami" (por. Rzym.8:34). Stokroć łatwiej uwierzyć w Jego zimną obojętność, niż zakwestionować własną postawę wątpiącego, którego wiara — zaiste — mniejsza jest od najmniejszego ziarnka gorczycy.

Umarł, zmartwychwstał, jest po prawicy Boga, wstawia się za nami. Taka jest konsekwencja przyjęcia ewangelii o Synu Marii. Bez całkowitej akceptacji i pełnego przyjęcia tych faktów, nasza wiara w całą resztę Jezusa Nazareńskiego jest trudem daremnym i bez znaczenia. Jeśli nie uwierzymy w zmartwychwstanie, wniebowstąpienie i królowanie Jezusa, który stał się Chrystusem, ze wszystkich ludzi najbardziej pożałowania godni jesteśmy. Jedzmy więc i pijmy, bo jutro pomrzemy!
Taka jest alternatywa: cały Chrystus lub zwątpienie; a mówiąc słowami Biblii: życie lub śmierć!
„Każdemu z nas dana została łaska, według miary daru Chrystusowego. Dlatego powiedziano: wstąpiwszy na wysokość, powiódł za sobą jeńców, i ludzi darami obdarzył. A to, że wstąpił, cóż innego oznacza, aniżeli to, że wpierw zstąpił do podziemi" (Ef.4:7-10).

Obok wielu innych tekstów (por. np. Rzym. 8:15-17; Gal. 4:6-7; Hebr. 2:10-13 i in.), słowa skierowane do zboru w Efezie pomagają nam zrozumieć, jakie znaczenie dziś, teraz, dla każdego, kto wyznaje w Jezusie Chrystusa — ma fakt Jego zmarwychwstania i wniebowstąpienia. Nie może już być mowy o happy endzie zamykającym pewną piękną i pouczającą historię życia jednego człowieka. Należy raczej mówić o prologu, którym rozpoczyna się najwspanialsza księga, jaką kiedykolwiek napisano: księga nowego życia, nowej ziemi i nowego Królestwa.
Słowa Tomasza: „Pan mój i Bóg mój" — są chwilą, w której spostrzegamy nową jakość Wydarzenia, któremu na imię było Jezus! Do chwały Ojca nie odchodzi pognębiony, wynędzniały, zniszczony na krzyżu Nauczyciel, lecz triumfujący i zwycięski Człowiek-Bóg. Mistrz odchodzi jako Król i Pan! Bez tego ryzykowne-

Panie, Ty wiesz...

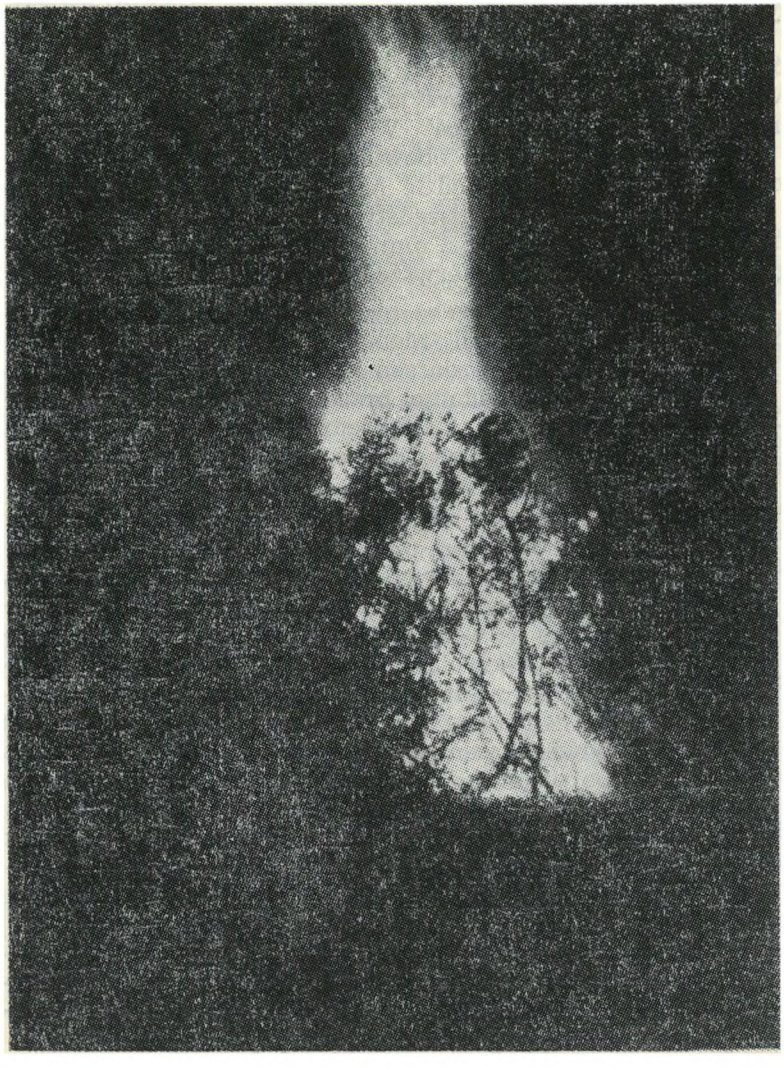

Panie Jezu,
Pragnienie miłości jest w nas tak silne,
a rezultaty — żałosne.
Ogień na ziemię rzucony przez Ciebie rozświetla drogę,
a my przed nim zamykamy oczy.
Wiemy, że do Ciebie można mieć zaufanie,
a mimo to — wątpimy!
Tyle razy przekonywałeś nas o swej miłości,
a mimo to serca nasze są nieme.
Panie Jezu, kiedy przepadnie nasza nieufność?
Ukrzyżowany i Zmartwychwstały!
Takiego chcemy Cię wyznawać,
w Takiego wierzyć,
w Takim pokładać zaufanie.
Pośredniku nasz i Bracie!
Ty także wiesz, co to jest ciemność,
i rozpacz człowiecza, i strach opuszczenia.
Przeszedłeś przez to dobrowolnie, aby aż do końca być człowiekiem.
Przyjąłeś Krzyż, abyśmy mogli odrzucić lęk,
zstąpiłeś w ciemność, aby z niej wyprowadzić niewolników grzechu,
umarłeś, aby już nikt nie musiał umierać,
dałeś Ducha swego, abyśmy byli mocni.
Kto umie Ci za to dziękować?
Wywyższony po prawicy Ojca, jesteś Sędzią naszym:
daruj nam słabość,
ulituj się nad wątpiącym,
nie pamiętaj niedowiarstwa,
zapomnij o zadufaniu.
Ty wiesz, jak bardzo chcemy Cię kochać!
Przyjmij tę nieporadną miłość.
Wszak wiesz, że na inną nas nie stać...
Wielbimy Ciebie, Panie nasz i Boże nasz,
bo rozumiesz naszą człowieczą dolę
i otwierasz przed nami bramy Królestwa.
Wielki i święty jest Pan zastępów
i cała ziemia jest pełna Jego chwały.
Alleluja!

go wyznania na nic cała wiara nasza! Bez tego wyznania nie ma Kościoła chrześcijańskiego!

Triumfujący Chrystus powraca na „łono Ojca" (wg J.1:18). Od tej chwili dzieli tron Najwyższego. Obdarzony pełnią Jego mocy, mając Jego pełnomocnictwo — staje się Panem naszego życia, więcej — miłosiernym Bratem-Pośrednikiem i, wreszcie, Najwyższym Sędzią. Powraca do Ojca, od którego wyszedł, ale powraca nie sam. Dopełnił przecież dzieła zbawienia: „wstąpił na wysokość, powiódł za sobą jeńców", ale najpierw musiał zstąpić do podziemi, aby ich stamtąd wydobyć.

Z Jezusem Nazareńskim wraca więc do Ojca c a ł a odkupiona ludzkość. W Nim otwiera się droga powrotu dla każdego człowieka, którego Bóg przeznaczył do swojej chwały. Zapalono latarnię, która pozwala spieszącym odnaleźć drogę w ciemnościach. To jest moment kulminacyjny, w którym odkrywamy, że tym przeznaczonym do Bożej chwały jestem właśnie ja, właśnie ty, właśnie my. To jest moment, w którym — wyzwoleni z niewoli grzechu i śmierci, obdarzeni duchem synostwa — stajemy się dziećmi Bożymi, a jeśli dziećmi, to i dziedzicami Bożymi, a współdziedzicami Chrystusa (por. Rzym.8:15-17), dzięki któremu najradośniejsza zapowiedź i obietnica staje się faktem — bramy Królestwa zostają otwarte.

Jedność Ducha w spójni pokoju

ODEZWA NA 400-LECIE UGODY SANDOMIERSKIEJ

Tekst publikowanej przez nas odezwy został przygotowany przez komisję, składającą się z przedstawicieli dwu Kościołów ewangelickich, a następnie przedyskutowany i skorygowany na wspólnym posiedzeniu Konsystorzy. Synod Ewangelicko-Augsburski uchwalił wydanie odezwy na sesji w dniu 22 lutego br. Synod Ewangelicko-Reformowany podobną uchwałę będzie mógł podjąć dopiero na najbliższej sesji, tzn. w listopadzie br. Wobec tego sprawa została rozpatrzona przez Prezydium Synodu i Konsystorz w dniu 16 lutego br. Postanowiono, że w imieniu Synodu odezwę podpisze Prezydium i przedstawi Synodowi do zatwierdzenia.
Dokument nosi symboliczną datę 14 kwietnia 1970 r. dla podkreślenia uroczystego charakteru uczczenia jubileuszu Ugody Sandomierskiej.

Redakcja

Dzieje Reformacji w Polsce obfitowały w wiele godnych pamięci wydarzeń. Jednym z nich był akt Ugody Sandomierskiej, podpisany dnia 14 kwietnia 1570 roku, kiedy przedstawiciele trzech bratnich wyznań, braci czeskich, kalwinów i luteran, podali sobie prawice do zgody, stwierdzając, że nauka zaprzyjaźnionych Kościołów jest zgodna ze Słowem Bożym. Uzgodniono, że w Komunii Świętej, która jest sakramentem jedności chrześcijan, wszystkie wyznania znajdują jedność z Jezusem Chrystusem, Panem Kościoła. Przyrzeczono sobie puścić w niepamięć wszystko, co naruszało i niszczyło przyjętą wtedy jedność wyznawców Jezusa Chrystusa. Nadrzędnym celem Zgody dla wszystkich poczynań tych trzech wyznań miało być „braterskie zjednoczenie i budowa Kościoła". Niemal więc od samego początku ujawniły się wśród polskich protestantów dążenia do jedności, zgodnie z myślą najwybitniejszego polskiego reformatora — Jana Łaskiego.

Z perspektywy 400 lat nie widzimy wielkości tego aktu tak wyraźnie, jak by go widzieć należało, a ekumeniczna atmosfera naszych czasów jeszcze bardziej przesłania jego niezwykłość. Należy jednak pamiętać, że stosunki wówczas układały się inaczej, niż dzisiaj. Napięcia między wyznaniami były świeże, a więc i ostrzejsze. Zgoda między trzema, pokrewnymi zresztą, Kościołami okazała się zdarzeniem wyjątkowym nie tylko w Polsce, lecz i w Europie.

Nie dziwimy się, że nie dała ona natychmiast praktycznych wyników w postaci zjednoczenia. Patrzymy z uznaniem na tych, którzy podjęli trud kontynuowania tego dzieła i wznawiania go w ciągu czterech wieków. Fakt nieustannego powracania do myśli o jedności Kościołów dowodzi, że idea ta, choć trudna do zrealizowania, jest zdrowa i stale aktualna.

Gdy więc nadszedł dzień 400-lecia pamiętnego aktu, te same Kościoły, Ewangelicko-Augsburski i Ewangelicko-Reformowany w Polsce, odnawiają dotychczasową więź i przyrzekają sobie wzajemnie braterstwo i zgodę, zachowując jedność w duchu wspólnego Pana, Jezusa Chrystusa.

Apelujemy, by w roku jubileuszowym wszystkie parafie obu Kościołów uroczyście uczciły pamiętną rocznicę przez wspólne nabożeństwa, ewangelizacje, wieczory zborowe z referatami i dyskusjami na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości polskiego protestantyzmu. Oba Kościoły pragną służyć wzajemnie swym wiernym tymi dobrami, które posiadają:

— Słowem Bożym przez wspólnotę kazalnicy,
— sakramentami przez wspólnotę chrzcielnicy i Stołu Pańskiego.

We wszelkich zaś dziedzinach, jak na przykład w pracy Synodów, we wspólnym kształceniu duchownych, w programach nauczania religii i w wychowaniu dzieci, we współpracy wydawnictw, w działalności społeczno-charytatywnej

będą dążyły do zbliżenia, którego celem jest jedność Kościoła Chrystusowego w widzialnych kształtach. Pragniemy traktować możliwość braterskiej współpracy jak najrzetelniej i dbać o jej pogłębienie, nawiązując w ten sposób do dzieła rozpoczętego przed czterema wiekami i dając wyraz naszej gotowości do jego rozwijania.

Dziś żyjemy i pracujemy w zupełnie odmiennych warunkach społeczno-politycznych i w innym układzie wyznaniowym. Na tym tle rysują się przed nami nowe zadania, które — podobnie jak dawniej — wymagają porozumienia i zgodnego współdziałania wszystkich ewangelików. Powinniśmy więc w gorących modlitwach dziękować Bogu za jedność, którą nam dał w osobie Jezusa Chrystusa, za sposobność pełnienia wspólnej służby na rzecz naszych bliźnich, i prosić Go o ducha odnowy.

Kościoły Ewangelicko-Reformowany i Ewangelicko-Augsburski są bezpośrednimi spadkobiercami twórców Ugody Sandomierskiej, ale uważają, że jak Ugoda objęła wszystkie wówczas istniejące na terenie Rzeczypospolitej wyznania protestanckie, tak i dzisiaj duch, z którego ona wyrosła, powinien być natchnieniem do współpracy dla wszystkich współcześnie istniejących w naszym kraju wyznań protestanckich. Pragnęlibyśmy więc, aby Kościoły wyrosłe na gruncie reformacyjnym dały wyraz jedności przez uczczenie rocznicy Ugody i przez nawiązanie ściślejszej współpracy.

Uznajemy, że Ugoda była owocem ducha braterstwa i tęsknoty za jednością Kościoła. Idee te odżyły ze szczególną mocą w ruchu ekumenicznym, który objął wszystkie Kościoły chrześcijańskie na całym świecie. Widomym ich wyrazem w naszym kraju jest Polska Rada Ekumeniczna, której twórców ożywiał duch Ugody Sandomierskiej. Kościoły w niej zrzeszone pragną realizować wolę Jezusa Chrystusa, wyrażoną w modlitwie arcykapłańskiej, „aby wszyscy byli jedno". W tym też duchu zwracamy się do nich z braterskim zaproszeniem do wspólnego przeżywania dni jubileuszowych i dalszego budowania jedności chrześcijańskiej.

W dążeniu do współdziałania chcemy się kierować przede wszystkim troską o to, aby szczere Słowo Boże było na całej naszej ziemi ojczystej głoszone i docierało do wszystkich. Chcemy być posłuszni Panu Kościoła, który wymaga od nas zgody i jednomyślności, aby wiarygodne było nasze świadectwo o tym, że Bóg w Jezusie Chrystusie pojednał świat ze sobą i że nam powierzył służbę pojednania. Tę służbę pragniemy spełniać dla dobra narodu, którego członkami uczynił nas Pan, a owocną pracą zawodową i społeczną dawać świadectwo przywiązania do ziemi ojczystej. Pragniemy, stosownie do naszych duchowych i fizycznych możliwości, przyczynić się do tego, aby Ojczyzna nasza, podobnie jak w wieku złotym, słynęła pośród narodów wolnością, kulturą i wielkością ducha.

Niechaj nam zawsze przyświecają słowa Apostoła: „Napominam was tedy... abyście postępowali jak przystoi na powołanie wasze, z wszelką pokorą i łagodnością, z cierpliwością, znosząc jedni drugich w miłości, starając się zachować jedność Ducha w spójni pokoju: jedno ciało i jeden Duch, jak też powołani jesteście do jednej nadziei, która należy do powołania waszego; jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest; jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest ponad wszystkich, przez wszystkich i we wszystkich" (Efez.4:1-6).

PREZYDIUM SYNODU
EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO

PREZYDIUM SYNODU
EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

Warszawa, dnia 14 kwietnia 1970 roku

KS. BOGDAN TRANDA

Stary oręż

Czasy się zmieniają. Również w Kościele. Były czasy krwawych walk, stosów, polemik, cichej wrogości, milczącego napięcia. Teraz nastały czasy ekumenii. Ludzie różnych wyznań, świeccy i duchowni, amatorzy i teologowie, zaczynają coraz bardziej interesować się sobą wzajemnie. Stary oręż poszedł do lamusa. Czy jeszcze kiedyś się przyda? Miejmy nadzieję, że nie. Dzisiaj nie wymachuje się ani mieczem, ani płonącą żagwią, ani nie rzuca się słowami-kamieniami. Dziś powiewamy oliwną gałązką — o, jak dobrze i przyjemnie, gdy bracia razem mieszkają! Pół wieku temu była ledwie garstka zapaleńców, a teraz zwolenników ekumenii można spotkać wszędzie.

Podwoje Kościoła rzymskokatolickiego otworzył szeroko dla ekumenii papież Jan XXIII, a drogę do niej utorował II Sobór Watykański. Otwarcie to było dla wielu rzeczą zaskakującą, wszakże — jak wykazała Anna Morawska świetnym artykułem w „Znaku" — idee ekumenicz-

ne od dawna żłobiły sobie nie dostrzegane, podskórne, ale głębokie, autentyczne kanały, których ignorować już nie było można. Kiedy droga stanęła otworem, ekumeniści zaczęli mnożyć się jak grzyby po deszczu. Poletko leżące odłogiem, spulchniane tu i ówdzie przez ekumeniczne dżdżownice, zaczęto regularnie uprawiać.

Również na naszej polskiej niwie zaczęło się coś dziać. Warunki u nas są specyficzne, problemy ostre, sytuacje często drastyczne, ludzie przeżywają dramaty, choć niewiele o tym słychać, bo giną w morzu spraw innych, bardziej masowych. Ludność, w swej zasadniczej substancji, jest katolicka, różnowierców żyje u nas niewielu. Problemy, które dla nas, ewangelików, mają znaczenie istotne, bo niemal codziennie musimy rozwiązywać różne trudności i konflikty, dla braci katolików prawie nie istnieją. My spotykamy się z katolikami na każdym kroku, oni — jeśli los nie zrządził inaczej — muszą szukać, gdy chcą nas poznać. Nie dziwimy się, że inaczej patrzą na wiele spraw katolicy, a inaczej członkowie mniejszości wyznaniowych. Niezależnie jednak od punktu widzenia, ekumeniczne zagadnienie katolicko-innowiercze u nas istnieje.

Dla strony katolickiej sprawą pierwszorzędnej wagi — jak się wydaje — jest informacja, rozpowszechniana przy pomocy masowych środków przekazu. Pewien groteskowy przypadek wskazuje, jak bardzo taka informacja jest potrzebna.

Proboszcz w dużym mieście powiatowym poinformował w kazaniu swych wiernych, że różnica pomiędzy katolikami a ewangelikami jest taka: ci pierwsi kochają Boga, a nie kochają bliźniego; ci drudzy kochają bliźniego, a nie kochają Boga.

Trzeba bezstronnie stwierdzić, że w dziedzinie informacji zrobiono wiele dobrego ze strony katolickiej. Tygodniki i miesięczniki zamieściły wiele obiektywnego materiału na temat ruchu ekumenicznego. Aliści zdarzają się również kwiatki pachnące dość osobliwie. Zeszyt 1/363 „Ateneum Kapłańskiego" [1] został w całości poświęcony problemom ekumenicznym. Jako małe kompendium odda zapewne dobre usługi wielu księżom katolickim. Autorzy większości tytułów wykazują znajomość przedmiotu i rzetelność w informacji, rzecz jasna, ze szczególnym uwzględnieniem stanowiska i potrzeb własnego Kościoła.

Od całości publikacji zdecydowanie odbiega artykuł ks. bp. Władysława Miziołka, pt. „Ruch ekumeniczny w Polsce". Biskup Miziołek, w oddzielnym rozdziale pt. „Aktualna sytuacja wyznaniowa w Polsce", w krótkich akapitach przedstawia 8 Kościołów należących do Polskiej Rady Ekumenicznej. Rozumiemy, że jest rzeczą niezwykle trudną scharakteryzować jakieś wyznanie w kilku zdaniach. Autor trudności tej nie sprostał. Żałujemy natomiast, że w paru miejscach nie tylko popełnił lapsusy, ale podał wysoce krzywdzące informacje.

Jednym z kwiatków wspomnianego artykułu jest prezentacja Kościoła Metodystycznego. Orientujący się czytelnik pomyśli z niesmakiem nie o metodystach, lecz o Autorze. A co z nie orientującym się czytelnikiem? Cóż, trzeba ufać, że będzie miał trochę taktu. Jeśli amerykańscy metodyści — jak pisze ks. bp Miziołek — „przybyli do zniszczonego kraju z pomocą charytatywną" (rok 1920!), to zapewne przyświecały im wskazania Ewangelii, co wystawia im piękne świadectwo. Jeśli zaś, na skutek „hojnie i z rozmachem" prowadzonej działalności, „zdobyli zrazu wielu zwolenników", a „po zakończeniu akcji pomocy wielu koniunkturalnych »wyznawców« odeszło", to wystawili oni w ten sposób niechlubne świadectwo tylko sobie. Prezentując Kościół, Autor podaje nieżyczliwą plotkę i uzupełnia ją aktualnym stanem liczbowym członków. Koniec, kropka. Czy ks. Miziołek nie widzi, czy nie chce widzieć niczego, co można by napisać w sposób obiektywny? Mniej lub bardziej podobne zastrzeżenia można wysunąć również wobec formy przedstawienia kilku innych Kościołów. Prezentacja tak dokonana nosi bardzo wątpliwą markę.

W innym miejscu swego artykułu ks. Miziołek powołuje się na oświadczenie Polskiej Rady Ekumenicznej, które — jego zdaniem — „wysuwa na pierwsze miejsce jako powód odmowy współpracy z Kościołem katolickim różnicę w ocenie współczesnej rzeczywistości polskiej i warunków działania Kościoła". Otóż prawdą jest, że PRE i Kościół katolicki odmiennie oceniają współczesną rzeczywistość polską, ale nie jest prawdą, że wspomniany dokument wysuwa to jako powód odmowy współpracy. Gdyby ks. Miziołek przeczytał uważnie cały tekst, to mógłby bez trudu stwierdzić, że o odmowie nie ma tam ani słowa. Rada Ekumeniczna, argumentując w sposób sugerowany przez ks. bp Miziołka, wystawiłaby sobie niedobre świadectwo. Dokument ocenia sytuację międzywyznaniową w Polsce na tle wydarzenia, jakim był II Sobór Watykański i stwierdza, że nie widać w polskim Kościele rzymskokatolickim jakichkolwiek oznak, które wskazywałyby na zmianę klimatu. Trzeba przy tym pamiętać, że dokument został ogłoszony w roku 1963 i od tego czasu zaszły pewne zmiany, jak np. list pasterski episkopatu z roku 1969, który przerwał milczenie hierarchii w sprawie ruchu ekumenicznego.

Oświadczenie PRE stwierdza, że Kościoły w Radzie zrzeszone „mają powody do bardzo wstrzemięźliwego i powściągliwego ustosunkowania się do przejawów ekumenizmu rzymskokatolickiego". Takie stwierdzenie nie jest odmową współpracy.

Szkoda, że ks. Miziołek nie zacytował zasadniczych sformułowań dokumentu, które mówią o nieprzyjaznych aktach Kościoła rzymskiego, o hierarchach nazywających niekatolików w Polsce „postronnymi", o milczeniu hierarchii na temat zagadnień ekumenicznych itp. Te sprawy na pewno mogłyby stać się podstawą do dyskusji, gdyby ks. Miziołek zechciał się do nich ustosunkować. Pominął je jednak mil-

czeniem. Wspomina tylko o jednej sprawie, a i to w sposób budzący wątpliwości. Pisze bowiem dosłownie: „Jeśli zaś chodzi o nie załatwione jeszcze sprawy obiektów sakralnych, wydaje się, że nawet w wypadku opieszałości czy winy parafii katolickich w uregulowaniu prawa własności czy dzierżawy, dążenie do jedności chrześcijan jest zagadnieniem zbyt wielkim i obchodzącym całe chrześcijaństwo, aby tego rodzaju fakty miały stać się powodem odmowy współpracy ekumenicznej". Jeszcze raz trzeba tu podkreślić, że oświadczenie PRE ani jednym słowem nie wspomina o „odmowie współpracy ekumenicznej", lecz tylko o „wstrzemięźliwości i powściągliwości", co znaczy coś zupełnie innego. Kościoły mniejszościowe mają, ich zdaniem, uzasadnione powody do powściągliwości, a nawet nieufności. Trzeba by te bariery przełamać, w czym pomogłoby przystąpienie do uregulowania spornych spraw. Natomiast pomniejszanie wagi zagadnienia i lekceważenie go z punktu widzenia niby-ekumenii prowadzi tylko do powiększenia rozdźwięku.

Jako przykład „długowiekowych doświadczeń — radosnych i smutnych — z działalności unijnej" podaje ks. Miziołek Unię Brzeską z 1595 roku, która „nie została przyjęta przez część hierarchii i ludu prawosławnego, stając się przyczyną niezgody i walk bratnich między ludnością..." Słusznie też ocenia tę działalność negatywnie. Zarówno Kościół prawosławny, jak i inne Kościoły mają żywo w pamięci dawną oraz niedawną „działalność unijną" Kościoła katolickiego i dlatego są one powściągliwe i nieufne. Sądzą, że przemiana mentalności, w której głęboko zakorzenione są schematy myślowe, nie następuje natychmiast. Jako liczbowo niewielkie, w porównaniu z Kościołem katolickim, żywią po prostu zrozumiałą obawę przed zbyt bliskimi kontaktami, aby nie zagroziły im one czymś, czego symbolem jest wspomniana Unia Brzeska.

W wydanym oświadczeniu, jak wspomniano, Polska Rada Ekumeniczna nie odmawia współpracy, lecz — oceniając krytycznie stosunki między katolicyzmem a mniejszościami wyznaniowymi — chciałaby uzyskać widoczne dowody, że inicjatywy ekumeniczne ze strony katolickiej dzieją się bona fide. Ani same gesty, ani słowa, choćby najbardziej pojednawcze, nie wystarczą. Artykuł ks. bp Władysława Miziołka, nawet w sferze słów, nie jest w naszym odczuciu aktem ekumenicznym. [2]

---

[1] „Ateneum Kapłańskie" 1969, t. 73, r. 61, z. 1/363.
[2] Artykuł ten jeszcze w maszynopisie został przesłany do redakcji „Ateneum Kapłańskiego", z prośbą o wydrukowanie, aby czytelnicy tego czasopisma mogli się zapoznać z jego treścią.

Ankieta o modlitwie

Spośród nadesłanych nam wypowiedzi, publikujemy trzy następne: dokończenie wypowiedzi nr 2 oraz nr 4 i nr 8. Sądzimy, że drukowane przez nas głosy na temat modlitwy, które są rodzajem osobistych wyznań, nie tylko spotkają się z zainteresowaniem Czytelników, ale również wywołają z ich strony oddźwięk.

A oto pytania, jakie zostały postawione ankietowanym:

● Istota modlitwy

Czym według Ciebie i czym dla Ciebie jest modlitwa? Jak się modlisz? Co Ci w modlitwie pomaga, a co przeszkadza (wymień)? Co sądzisz o indywidualnej, spontanicznej, głośnej modlitwie podczas nabożeństwa (zgromadzenia)? Jak rozumiesz apostolskie słowo: „Bez przestanku się módlcie..." (I Tes. 5:17)?

●● Kryzys modlitwy

Czy i w jaki sposób przeszedłeś kryzys (ew. przełom lub mutację) modlitwy? Co było jego przyczyną? Jaki był rezultat przełomu? Kiedy i dlaczego modlitwa staje się „pacierzem" (stereotypem)?

●●● Wątpliwości

Czy można wierzyć a nie modlić się? Jeżeli Bóg wie wszystko, to po co się modlić? Co robisz, gdy nie czujesz potrzeby modlitwy?

●●●● Rezultat

Podaj przykłady wysłuchania Twoich modlitw.

Nr 2 Ustawiczna przemiana

●● Przeszłam dwa kryzysy modlitwy, które mogę jakoś wyróżnić świadomie. Pierwszy to był kryzys słowa. W jakimś momencie modlitwa cudzymi słowami, nawet najpiękniejszych psalmów, stała się dla mnie nieznośna. Czułam, że one nic nie znaczą. Modlitwy, znane na pamięć, myliły mi się i plątały. Raptem orientowałam się, że wydaje mi się, iż modlę się do Matki Boskiej, a odmawiałam słowa „Ojcze nasz", albo że mówię „Ojcze nasz", a mówiłam „Zdrowaś" itd. Modlitwa stała się wówczas dla mnie czymś jak tłuczenie kamieni na szosie, odrabianiem ciężkich robót „dla Pana Boga". Na moje szczęście miałam dobrego duszpasterza, który mi poradził rzucić wszystkie modlitwy słowne i teksty w kąt i zarezerwować tylko w ciągu dnia czas na pomilczenie wobec Boga. Ten sam duszpasterz ukazał mi Boga Miłującego — Boga, Który kocha Pierwszy, Którego Miłości nie trzeba „zdobywać" odrabianiem zadań na piątkę.

Pozostawiłam wówczas tylko czytanie Pisma Świętego. Czytałam je niezależnie od tego, czy mi to coś „pozytywnego" w danym dniu dało i nie zmuszałam się nawet do myślenia nad tekstem. Zachowując obyczaj czytania Pisma Św. — głównie Ewangelii — i rezerwowanie czasu na milczenie, resztę zostawiłam jakoś „na żywioł". To mi uratowało możność modlitwy i otworzyło jej nowe horyzonty.

Drugi kryzys pojawił się wtedy, gdym się zorientowała w niebezpieczeństwie zrobienia sobie z takiej milczącej modlitwy „wyobrażonego raju". Zdałam sobie bardzo ostro sprawę z tego, że można sobie wyobrazić obecność Miłującego Boga i cieszyć się tym — w oderwaniu i od życia i od prawdziwego stawania przed Bogiem nieznanym i milczącym — że można prowadzić wyobrażony dialog nawet w milczeniu, że można z Boga zrobić „wyobrażonego Umiłowanego", a wtedy będzie to tylko moja miłość do mnie samej. Zdałam sobie bardzo

wyraźnie sprawę z naszego niedocierania do Obecności Bożej, z tego, że Bóg tu, na ziemi, w jakiś sposób nie ma dla nas „twarzy" — twarzą w twarz mamy dopiero nadzieję spotkać Go „tam" — po śmierci. Wtedy zdecydowałam się zaangażować jak najmocniej w spotkanie z ludźmi, przyjmując twierdzenie wielu, że Boga spotykamy tylko w spotkaniu z bliźnimi, że to jest jedynie realne, jedynie bezpieczne, a wszystko inne jest fantazją i ucieczką od obowiązków. Narzuciłam to sobie trochę wbrew sobie i w jakimś sensie pogłębiłam kryzys. Z czasem przekonałam się, że to nie było słuszne. Potrzebujemy pewnego rytmu spotkania z Bogiem wewnątrz spotkania z bliźnimi, i spotkania z Bogiem — wewnątrz spotkania z samym sobą. Jedno i drugie spotkanie wymaga oczyszczenia z pragnień zapewnienia sobie miłych przeżyć i ludzkiego szczęścia — oczyszczenia z egoizmu i wyobrażeniowo upostaciowanej miłości samego siebie. Spotkanie z Bogiem w modlitwie, z konieczności realizuje się poprzez spotkanie z samym sobą. Jeżeli Boga ustawimy, w swej myśli, na zewnątrz nas, grozi zrobienie z Niego „wyobrażonego Umiłowanego", w sensie jakiejś fałszywej mistyki. Jeżeli natomiast przeżywamy wiarę w to, że On bierze nas swoją mocą wewnątrz nas samych — jeśli sami, jakimi jesteśmy, stajemy wobec Niego, nie pytając za bardzo o Jego Twarz, o wyobrażenie o Nim, wtedy spotkanie z Nim w milczeniu modlitwy staje się źródłem dla spotkania z Nim we wspólnocie i w zetknięciu z każdym człowiekiem. Powoli też coraz bardziej, nawet w czterech ścianach pokoju, stajemy wobec Boga w poczuciu „my", a nie „ja". Temu poczuciu „my" sprzyja bardzo przeżywanie spotkania z ludźmi w miłości i służbie, i przeżywanie także samej modlitwy w społeczności liturgicznej. Ten drugi kryzys nie jest we mnie zakończony — to, co tu piszę, jest więc zapewne nieco chaotyczne i niejasne. Ogólnie mam przeświadczenie absolutnej wewnętrznej jedności miłości Boga i ludzi, i myślę, że ta jedność jest jakimś centrum modlitwy — miłość, a nie słowa czy formy.

W tej chwili jeszcze sobie wielce nie radzę z liturgią mego Kościoła. Bardzo trudny jest dla mnie rozdźwięk między formą a treścią. Ale tak myślę, że do ludzkiego życia należy realizacja wciąż i zawsze czegoś, co nie jest tym, czym być powinno. Wszystko co robimy — wszystkie nasze gesty, słowa, działania — nie są tym, czym być mają w pełni; są może korzonkiem i nadzieją na to, co z tego Bóg uczyni w Królestwie Swego Syna. Im mniej to wszystko jest podobne do tego, czym być ma, tym bardziej trzeba to przeżywać w wierze w zbawienie. Myślę, że — choćbyśmy tysiąc razy przemienili formy na takie czy inne — to i tak nie będzie to to, o co chodzi, bo wciąż jesteśmy ludźmi przemienianymi, a nie przemienionymi w nowego człowieka. Myślę też, że nasze wysiłki dostosowywania formy modlitwy do treści, której szukamy, mają jednak sens — że właśnie bez tego wysiłku ustawicznego pogłębiania i przemiany, modlitwa staje się pacierzem.

Pacierz to jakieś odrabianie zadania, którego Bóg wymaga, właściwie bez nadziei na spotkanie, bez tęsknoty do spotkania i bez relacji do życia praktycznego. Pacierz „odbywa się" bez wiary w to, że Bóg chce nas spotkać wewnątrz nas samych, że właśnie tego spotkania już dokonał w Chrystusie i tylko czeka na nasze otwarcie się na Jego Miłość ku światu, na Jego zbawiające działanie; jest to tylko odrabianie jakichś magicznych zaklęć, które mają sprowadzić życzliwość — zewnętrznego wobec nas i na codzień nieobecnego — Pana. Myślę, że modlitwa dlatego tak często staje się stereotypem, że my uczymy naszych braci raczej pobożności niż wiary — pobożności nieco pogańskiej lub najwyżej starotestamentowej. Nie uczymy ich, że w Chrystusie synami Bożymi jesteśmy, że Duch Św. jest w nas i mówi w nas do Boga „Ojcze".

●●● Wątpliwości

1. Można wierzyć a nie odmawiać modlitwy i nie uczestniczyć w liturgii, ale byłaby to chyba wiara ogromnie indywidualistyczna, bo słowa są wyrazem wspólnoty. Sama jednak wiara bez słów i deklaracji już jest modlitwą, bo stawia wierzącego wobec Tego, w kogo wierzy.

2. Modlitwa nie służy temu, by informować Boga, ale by stanąć w Jego Obecności. Słowa są potrzebne dla nas. Odnosimy się do Boga po ludzku, jak do Przyjaciela, Ojca i Brata. Potrzebujemy tego, by po ludzku zwierzyć się Bogu — wtedy realizuje się w nas jakieś odniesienie pełne zaufania. Modlitwa wstawiennicza za kogoś służy ponadto realizacji świętych obcowania — daje nam uczestnictwo w jedynym wstawiennictwie Chrystusa Pana.

Wierzę, że Bóg chciał zbawiać nas nie każdego z osobna, ale społecznie, jako lud Boży, włączony ściśle w kapłaństwo Chrystusa. Gdy proszę Ojca Niebieskiego o kogoś, w imię Chrystusa — to realizuję włączenie się w prośbę samego Chrystusa za tego kogoś. Bóg kocha tego kogoś bardziej niż ja i nie potrzebuje mego wstawiania się, by mu pomóc. Ale zechciał tego wstawiania się, skoro na prośbę uczniów Jezusa czynił cuda. Zechciał chyba po to, by dać nam dar wzajemnej miłości — byśmy jedni drugim mogli coś dawać, nie mając nic. Dzięki temu, że Bóg obiecał skuteczność modlitwy w imię Jezusa, możemy się dzielić z braćmi najcenniejszym darem Jego Miłosierdzia, stajemy się j e d n o przez Chrystusa i w Chrystusie.

3. Co robię gdy nie czuję potrzeby modlitwy? Często robię bardzo niedobrze, bo się po prostu nie modlę. Zawsze sobie wyrzucam zaniedbania w tym względzie — zaniedbania w braniu udziału w liturgii, która nie jest taka, jak bym pragnęła, w czytaniu Pisma Św. gdym zmęczona, w dostatecznym rezerwowaniu sobie czasu na milczenie wobec Boga, zamiast tonięcia w tym czasie w bezpłodnym smutku osamotnienia.

Ale wciąż od nowa staram się to jakoś przezwyciężać. Samo odczucie potrzeby nie jest tu chyba ważne, często jest prostym wynikiem zmęczenia, czasem bywa formą oczyszczenia z egoistycznych poszukiwań „małego raju".

Nie wiem przy tym, czy — ściśle mówiąc — zdarza się, że nie czuję potrzeby modlitwy; może raczej niemożność, bezpłodność, lęk trudu — chyba zawsze nurtuje mnie tęsknota do tego, czym modlitwa być może.

●●●● Rezultat

Wiele razy to, o co prosiłam, stało się; kiedy indziej stało się całkiem inczej. Myślę, że ocenianie rezultatu w tych kategoriach, to błąd; myślę, że wysłuchanie modlitw jest Bożą Tajemnicą i przedmiotem wiary, a nie takich czy innych sprawdzianów. Nigdy nie ma sprawdzianu, że coś się stało akurat dla-

tego, że ja prosiłam, choć wierzę, że wiele mogło się zdarzyć tak a nie inaczej, bo nie tylko ja, ale wielu prosiło. Ile razy też we mnie samej dokonuje się jakiś dobry przełom, myślę sobie, że na pewno ktoś kochający o mnie się modli. Wiara w skuteczność modlitwy wynika u mnie z wiary w sens społeczności Kościoła — wierzę w tę skuteczność ślepo, nie szukając sprawdzianów w zdarzeniach. O wiele częściej mam poczucie wysłuchania modlitwy wtedy, gdy proszę o rozeznanie się w sytuacji, jak właściwie powinnam postąpić wedle woli Bożej — parokrotnie miałam poczucie bezpośredniej niemal odpowiedzi. W wielu też sytuacjach, niemal beznadziejnych, znalazło się wyjście, które odczuwam jako Bożą Opatrzność — ale któż wie, czyjej modlitwie i jakim Bożym planom ją zawdzięczam? Myślę, że po prostu trzeba prosić o wszystko co nam i innym potrzebne w zaufaniu do Ojca — i wszystko co się zdarza, zgodnie czy niezgodnie z prośbą, przyjmować jako dzieło Opatrzności. I wtedy właściwie nie ma wypadku modlitwy bezskutecznej, a zarazem skuteczność wszystkich modlitw jest wielką Bożą Tajemnicą.

Poza pytaniami

Nie postawiliście pytania o stosunek modlitwy do gestu sakramentalnego. W moim Kościele jest to zagadnienie bardzo ważne. Sakrament można przeżywać jako obowiązek wobec bardzo dalekiego Boga, można przeżywać magicznie (podobnie jak i słowo modlitwy), a można go przyjąć jako wprowadzenie w misterium Zbawienia w Kościele — Ludzie Bożym. Centrum liturgii mego Kościoła jest Sakrament Eucharystii — Uczta Eucharystyczna. Wprowadza mnie ona w jedność ze śmiercią i Zmartwychwstaniem Pana, a zarazem w spełnienie Uczty w Królestwie Niebieskim — czyli absolutnej jakiejś jedności ludzi z Bogiem w Jezusie Chrystusie i przez Jego dzieło Zbawienia. Jest dla mnie nie tylko przyjęciem Zbawienia, lecz daje mi uczestnictwo w historii Zbawienia w Chrystusie Panu, daje uczestnictwo także w tym, co dostajemy w Zmartwychwstaniu, tj. w jedności wszystkich nas w Bogu. Staram się o uczestniczenie w liturgii Mszy Św. w niedzielę — jako w Dniu Pańskim -- a gdy się da, to i częściej. Ale w te inne dni, gdy mam zadania wobec ludzi, daję im pierwszeństwo, bo uważam, że każda jedność międzyludzka i służba ludziom jest tym samym, co Uczta Eucharystyczna (o ile realizuje naszą jedność w Bogu i o ile jest służbą w Nadziei Eucharystycznej i w duchu Ewangelii). Sądzę, że każde dzielenie się chlebem czy słowem, czy jakimkolwiek dobrem należy do tego samego misterium Krzyża i dzielenia się Chlebem Pana. Dawniej, gdy nie mogłam uczestniczyć w Misterium Eucharystii, zdawało mi się, że tracę spotkanie z Bogiem. Dziś wiem, że było to traktowanie sakramentu nieco magiczne — że jest on znakiem realizującym Łaskę, ale obejmującym życie dużo szerzej niż sama liturgia sakramentu. Sądzę, że podobnie ma się rzecz z każdym sakramentem i każdym też zgromadzeniem liturgicznym — realizuje się w nim taka jedność przed Bogiem, która obejmuje i wszystkie nasze spotkania indywidualne w dwie czy trzy osoby, i naszą modlitwę w czterech ścianach pokoju. Znak sakramentalny jest czymś takim jak Słowo Boże, którego słuchamy. Nie jest naszym znakiem, ale jest z naszej ludzkiej kultury wzięty przez Pana i zmieniony w Jego Znak-Słowo, w Jego dzieło, w Jego działanie, w Jego gest. W ludzkim spotkaniu towarzyszą sobie słowo i gest — podobnie w udostępnieniu nam Zbawienia, Słowo Boże i Boży gest wprowadzają nas w milczenie Łaski. Odpowiada temu jakoś nasze milczenie słuchania i nasze słowo, i gest modlitwy, i nasza realizacja życia.

W naszej praktyce to wszystko jest za mało jednością, za mało się przenika. Wydaje mi się, że przyjmowanie sakramentu ma tę szczególną cechę, że bardzo mocno ujawnia się tu Bóg jako działający, a my jako przyjmujący. W modlitwie naszymi słowami tak łatwo o wyobrażenie sobie, że to my działamy jak gdyby pierwsi. Toteż oparcie modlitwy o przyjmowanie sakramentów i słuchanie Słowa Bożego utrzymuje nas we właściwym stosunku do źródła naszego życia i modlitwy, która wtedy najbardziej okazuje się darem darmo danym.

Nr 4 Wdzięczność za troski

● Modlitwa jest jedną z form obcowania z Bogiem, jest nawiązaniem z Nim łączności. Różnie są moje modlitwy — czasem króciuteńkie (jakby wsłuchiwanie się, jakby poddanie się woli Boga). Takie modlitwy mają miejsce przed podjęciem decyzji, przed jakimś wydarzeniem. Zdarzają się więc w różnych miejscach i okolicznościach: w tramwaju, na sali obrad, we własnym pokoju. Inny charakter ma modlitwa wieczorna. Jest ona głębszym przeżyciem, włączeniem się w sprawy świata, ludzi, w życie dnia dzisiejszego — z prośbą o opiekę nad wszystkim i wszystkimi.

Co mi w modlitwie pomaga? — Cisza i spokój na zewnątrz i wewnątrz. Gdy modli się jedna osoba, np. duchowny, pomaga, gdy czuję szczerość w słowach prostych, bez patosu; przeszkadzają natomiast górnolotne sformułowania, wykrzykniki itp.

Modlitwa Pańska, wspólnie wypowiadana głośno, łączy zbór, daje odczuć bliskość i jedność w Bogu. Natomiast modlitwy spontaniczne, wypowiadane przez różnych uczestników, przeważnie dotyczące własnych spraw, powtarzające się i w formie i w treści, często zdradzające egzaltację — nie pozwalają na głębsze przeżycie: szybko nużą i męczą.

Jak rozumiem apostolskie słowa: „Bez przestanku się módlcie"? — W określeniu, czym jest dla mnie modlitwa, kryje się odpowiedź i na to pytanie: postawa stałej gotowości do łączności z Bogiem, przejawiająca się w każdym czynie i myślach.

●● Kryzysu modlitwy nie przechodziłam, jeśli to raczej kryzys form, kryzys nabożeństwa, ale modlitwa od wczesnych lat mego życia stała się dla mnie tym, czym jest dzisiaj.

Modlitwa może stać się „pacierzem", stereotypem, gdy przekształca się w nawyk, któremu nie towarzyszy głębsze przeżycie.

●●● Można wierzyć a nie modlić się z rutyną, natomiast nie można wierzyć i nie modlić się w znaczeniu obcowania z Bogiem i szukania z Nim kontaktu.

Jeżeli Bóg wie wszystko, to po co się modlić? A gdyby nie wiedział wszystkiego, to byłoby po co? Wydaje mi się, że to pytanie nie ma nic wspólnego ze sprawą modlitwy i znajduje się jakby w innej płaszczyźnie.

Czy bywa tak, bym nie czuła potrzeby modlitwy? — Raczej bywa tak, że nie jestem w stanie zdobyć się na głębsze przeżycie w modlitwie. (Na przeszkodzie staje najczęściej zmęczenie i senność). Wówczas w pokorze zginam kolana lub tylko głowę i przeżywam chwilę „otwarcia" — westchnienie.

● ● ● ● Przykładu wysłuchania moich modlitw nie mogę podać. Gdy proszę o opiekę i pomoc, jak mam osądzić, kiedy prośba zostaje wysłuchana: czy wówczas, gdy rezultat jest zgodny z moim życzeniem, czy wtedy, gdy jest odwrotnie?

Dziś, patrząc wstecz, jestem może bardziej wdzięczna za wszystkie ciężary i troski niż za powodzenia. Wydaje mi się, że rezultatem modlitwy jest wiara i odczuwanie obecności i kierownictwa Boga w moim życiu.

Nr 8 Prostowanie światopoglądu

Nie umiem modlić się. Może dlatego, że w ogóle trudno mi się skupić nad czymkolwiek, nie wiem. W każdym razie modlitwie poświęcam zaledwie kilka minut dziennie. Podobnie jest w niedzielę: w czasie mszy (jestem katolikiem). Króciutkie chwile modlitwy przeplatają się ze znacznie dłuższymi chwilami, w czasie których myślę mniej lub więcej nie na temat, czy to bezmyślnie czytając teksty liturgiczne, czy próbując modlić się własnymi słowami. Możliwość indywidualnej, spontanicznej modlitwy głośnej niewiele by tu chyba zmieniła. Gdyby przyjąć, że rutynizacja modlitwy jest głównym powodem mych trudności, może tak. Wcale jednak nie jestem tego pewien.

Nie nauczyłem się też traktować czytania Biblii jako modlitwy — nie umiem się zatem modlić także i w taki sposób. Wiele jest w tym na pewno zwykłego lenistwa.

Dochodzi do tego u mnie kryzys sensu modlitwy. Sens modlitwy „błagalnej" wydaje mi się wątpliwy, bliski jestem poglądom radykalnym, według których modlenie się za kogoś sensowne jest tylko jako przeżywanie solidarności z nim i ma na celu — bezpośrednio — tylko nasz własny duchowy pożytek, właściwe „ustawienie się" modlącego w stosunku do świata jego bliźnich — a Pan Bóg i tak wie nieskończenie lepiej od nas, jak ma pokierować losami tego czy innego faceta. (I ten pogląd wszakże jest wątpliwy: czyż głoszenie go nie jest takim samym zadufkostwem, jakim grzeszy tradycyjna teologia katolicka, która zakłada, że przejrzała Tajemnicę?)

Jeśli nie zwątpiłem zupełnie w swą religijność (bo modlitwa jest przecież warunkiem sine qua non religijności), to dlatego, że pamiętam, co o modlitwie pisał w „Listach do przyjaciela" Antoni Gołubiew: że jest nią każde otwarcie się na Boga.

Mieszając to, co pamiętam z lektury „Listów", z własnymi przemyśleniami, powiedziałbym, że modlitwa polega na spojrzeniu na wszystkie nasze sprawy po Bożemu. Jest jakimś swoistym rachunkiem sumienia, ale zupełnie nietradycyjnym, nie jest przypominaniem sobie grzechów — ale właśnie oświetleniem wszystkiego, czym żyję, światłem Ewangelii.

Przez cały dzień patrzę pod może niezupełnie innym kątem, lecz na pewno bardziej powierzchownie, i oceniam według nienajwłaściwszej hierarchii wartości. Modlitwa ma zatem pogłębiać, i przez to prostować, mój światopogląd. Im więcej takich chwil „prostujących", tym lepiej. W tym sensie obowiązują słowa św. Pawła: „Bez przestanku się módlcie". Najlepiej byłoby, gdybym w ogóle nigdy inaczej na świat nie patrzył, jak tylko właśnie w ten sposób — po Bożemu.

Takie widzenie świata jest wielbieniem Boga, a zarazem dziękczynieniem Mu (tradycyjne „tematy" modlitwy), niekoniecznie „expressis verbis", ale samą postawą duchową.

DLA NIETEOLOGÓW

Kościół

Kościół jest żywą społecznością żywego Chrystusa. Jest to cały lud Boży, powołany przez Jezusa Chrystusa za pośrednictwem Jego posłańców. Dowodem wewnętrznej prawdziwości Kościoła jest ujawnienie się Ducha i mocy jako skutku świadectwa o Jezusie Chrystusie. Bez obecności Jezusa Chrystusa, bez obecności Ducha Świętego Kościół jest martwy.

Słowo „kościół" bywa używane w kilku różnych znaczeniach. Przede wszystkim kojarzy się z budynkiem, zwanym czasami świątynią, gdzie chrześcijanie zbierają się na nabożeństwa. Kościołem nazywa się także organizacja religijna, zrzeszająca członków danego wyznania na określonym terenie. Mówi się więc o Kościele światowym, krajowym i lokalnym. Dla Kościoła krajowego używamy synonimu Jednota, zaś dla Kościoła lokalnego najczęściej — parafia lub zbór. Kościół jednak to nie tylko budynek, ta lub owa instytucja, podobnie jak sama muszla nie jest ślimakiem.

Określenie „kościół" pochodzi od greckiego słowa „ekklesia" i oznacza publiczne zgromadzenie. W starożytności goniec przemiarzał ulice i wzywał obywateli na zebranie. Większość z nich opuszczała swe domy, podążając na rynek. W Nowym Testamencie słowo „ekklesia" jest nawet użyte na określenie tłumu zgromadzonego w Efezie, który przez dwie godziny wołał: „Wielka jest Artemida Efeska!" (Dz. 19:40).

Treść słowa „kościół" zawiera w sobie pierwiastek dynamiczny publicznie zwoływanego zebrania. Wezwani przez swego Zwierzchnika przychodzą ci, którzy pragną służyć Jemu i swym współobywatelom. W samej już więc nazwie „ekklesia-kościół" mieści się pojęcie pewnej zbiorowości o charakterze powszechnym i demokratycznym. Oczywiście, nie każda zbiorowość o charakterze powszechnym i demokratycznym będzie Kościołem.

„Kościół jest żywą społecznością żywego Chrystusa. Są to ludzie w dynamicznej społeczności, obdarzonej życiem przez Boga, który tą społecznością rządzi przez swe Słowo i Ducha i prowadzi do Królestwa.

Istotą Kościoła jest zjawisko ujawnienia się Ducha i mocy (I Kor. 2:4), wywołane przez

Pismo Święte — profetyczne i apostolskie świadectwo o Jezusie Chrystusie. Zjawisko to stanowi dowód wewnętrznej prawdziwości Kościoła.

Kościół jest tam, gdzie Chrystus i Wieczerza Święta gromadzą ludzi pod najwyższą władzą Jezusa Chrystusa, który jest jednocześnie Panem wszechświata. Kościół jest żywym i widzialnym zgromadzeniem, które słucha Słowa Bożego, odpowiada na nie i zwraca się z nim do świata, choć budzi w nim to nieuniknione zgorszenie. Kościół szeroko otwiera swe drzwi i okna, aby uczestniczyć nie w szaleństwach i iluzjach świata, lecz w jego nędzy i zadaniach. Wśród nerwowego pośpiechu świata jest miejscem spokoju, gdzie istnieje możliwość poważnej refleksji nad sobą samym. Jest jednocześnie miejscem świętego niepokoju, profetycznej podniety, bez której świat nie mógłby istnieć. Kościół rzuca światło Królestwa Bożego na każdy ruch, wysiłek, postęp, regres, wzlot i upadek człowieka". [1]

„Bóg, który stworzył świat i wszystko, co na nim, ten, będąc Panem nieba i ziemi, nie mieszka w świątyniach ręką zbudowanych" (Dz. 17:24). Jest On obecny przez swego Ducha pośród swojego ludu. Kościół jest to cały lud Boży, powołany przez Jezusa Chrystusa za pośrednictwem Jego posłańców. Nie można o nim mówić jako o nieuchwytnej rzeczywistości, o mistycznym miejscu spotkania eterycznych dusz. Istnieje w określonym miejscu i o określonej porze, gdy zbiera się zgromadzenie, aby słuchać wskazówek swego Pana, okazywać Mu posłuszeństwo, oddawać Mu cześć i odpowiadać świadomie na Jego wezwanie. Biblia używa różnych określeń na oznaczenie Kościoła, takich jak „owczarnia", „oblubienica", „budowla Boża", „świecznik", „ciało Chrystusowe". Zatrzymajmy się nad określeniem „ciało". „Ciało jest jedno, a członków ma wiele... Jeśliby rzekła noga: ponieważ nie jestem ręką, nie należę do ciała; czy dlatego nie należy do ciała?... Jeśliby całe ciało było okiem, gdzież byłby słuch?... A tak członków jest wiele, ale ciało jedno. Nie może tedy oko powiedzieć ręce: nie potrzebuję ciebie... Jeśli jeden członek cierpi, cierpią z nim wszystkie członki; a jeśli doznaje czci jeden członek, radują się z nim wszystkie członki. Wy zaś jesteście ciałem Chrystusowym, a z osobna członkami" (I Kor. 12).

Obraz jest jasny. Chociaż dusza jest niewidzialna, ciało widać. Kościół musi więc być widoczny, gdy zbiera się na oczach świata. Ciało bez duszy jest jednak martwe. Chodzi więc jeszcze o coś innego niż o widzialność Kościoła. Jego duszą jest niewidzialna obecność Jezusa Chrystusa, obecność Ducha Świętego, która nie da się stwierdzić zmysłami. Bez tej obecności Kościół jest martwy. Co więcej — na nasze ciało nie składają się komórki ułożone w sposób przypadkowy, lecz ułożone harmonijnie, tworzące arcydzieło precyzji. Najrozmaitsze organy zgodnie współpracują, wypełniając określone funkcje; każdy z nich działa na rzecz całości.

Podobnie Kościół nie jest stowarzyszeniem pobożnych dusz zgromadzonych przypadkowo, według swego własnego wyboru i sympatii. Musi w nim panować ład, uznany przez wszystkich, lecz nie narzucony przez silniejszych. Każdy członek Kościoła, a nie tylko uprzywilejowana kasta, ponosi osobistą odpowiedzialność. Jego upadki odbijają się na całości, a jego posłuszeństwo wzmacnia całość.

Powiedzmy wyraźnie pod adresem wszelkiego rodzaju indywidualistów: Bóg chce Kościoła. On nie rozdrabnia swej miłości na pojedyncze pobożne komóreczki, aby umocnić religijny egoizm jednostki. Trzeba jednocześnie stwierdzić, że Kościół nie jest kolektywną masą, przekreślającą wszelką osobowość. Jezus Chrystus jest Panem Kościoła, lecz nie spragnionym nieograniczonej władzy dyktatorem. Każdy członek Kościoła żyje swym odrębnym życiem dla dobra całości. Każdy jest odpowiedzialny za innych. Prawdziwy Kościół to nie jest ani indywidualizm, ani kolektywizm, lecz żywa społeczność.

B. Tr.

[1] Karl Barth, La nature et la forme de l'Eglise, [w:] L'Eglise, Genewa 1964, s. 119.

MIECZYSŁAW KWIECIEŃ

Dietrich Bonhoeffer

Ćwierć wieku temu, 9 IV 1945 r., na miesiąc przed zakończeniem II wojny światowej, w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Flossenbürg, za udział w spisku przeciw führerowi i za zdradę, został powieszony jeden z najoryginalniejszych teologów protestanckich naszego stulecia, 39 letni pastor Dietrich Bonhoeffer.

Urodził się 4 lutego 1906 r. we Wrocławiu jako szóste dziecko profesora psychiatrii Karla Bonhoeffera. Luterska rodzina Bonhoefferów nie była jednak z Kościołem zbyt blisko związana. Siedemnastoletni Dietrich otrzymał świadectwo dojrzałości w roku 1923 i rozpoczął studia teologiczne w Tybindze, a następnie kontynuował je w Rzymie i Berlinie. W tym czasie (1924—

1927) na uniwersytecie berlińskim wykładali najwybitniejsi przedstawiciele liberalnej teologii: Adolf von Harnack, Karl Holl, Reinhold Seeberg, Adolf Deissmann oraz inni. Równocześnie Bonhoeffer zaczyna pasjonować się pismami przedstawicieli teologii dialektycznej, zwłaszcza Bartha i Gogartena. Niebawem jego stanowisko zbiegnie się ze stanowiskiem przedstawicieli teologii Słowa, a po latach swoje miejsce znajdzie między Barthem a Bultmannem, ale zdecydowanie bliżej Bartha. Osobiste spotkanie z Barthem nastąpi dopiero w 1931 r. w Bonn, i ten kontakt okaże się skuteczniejszy od lektury jego pism. W 1927 r. 21-letni Bonhoeffer kończy swoją rozprawę doktorską *Sanctorum Communio (Społeczność świętych)*, pisaną pod kierunkiem prof. Seeberga. Tematem pracy jest Kościół, przedstawiony w kategoriach historyczno-socjologicznych, w konfrontacji z teologią objawienia. Roczny wikariat (1928—1929) odbywa w Barcelonie, pracując w zborze skupiającym głównie Niemców. Z oddalenia obserwuje nasilanie się wpływów narodowego socjalizmu i przyjmuje wobec niego postawę zdecydowanie krytyczną. 18 lutego 1929 r. wraca do Berlina i podejmuje pracę na uniwersytecie jako asystent Wilhelma Lütgerta (następcy prof. Seeberga), przygotowując jednocześnie rozprawę habilitacyjną, poświęconą zagadnieniu Kościoła jako tożsamości „Chrystusa historii". Ukończona w 1931 r. praca nosi tytuł *Akt und Sein* i jest niewątpliwie najtrudniejszą pozycją w całym dorobku teologicznym Bonhoeffera.

5 września 1930 r. Bonhoeffer wyrusza w pierwszą podróż zaoceaniczną. Otrzymał bowiem stypendium Zjednoczonego Seminarium Teologicznego w Nowym Jorku. Tam ma okazję zapoznać się z kierunkiem praktycznym teologii amerykańskiej *(Social Gospel)*. Poruszony sytacją Murzynów, wśród nich zdobywa przyjaciół. Wiara czarnoskórych chrześcijan, najautentyczniej wyrażana w kazaniu i pieśni, podbija jego serce.

Po powrocie do Europy, w Bonn, następuje spotkanie z Karolem Barthem. Konsekwencją przyjęcia drogi, wskazanej przez teologię dialektyczną Bartha, jest zwrot Bonhoeffera w kierunku praktycznej pracy kościelnej z jednoczesnym zaangażowaniem się w ruch ekumeniczny. Bonhoeffer związuje się silnie z kierunkiem praktycznym ekumenizmu *(Life and Work)*. Z jednej więc strony, jako utalentowany i i rozwijający się naukowiec udziela się w sferach uniwersyteckich (jest prywatnym docentem na uniwersytecie w Berlinie), z drugiej — pochłania go teologia praktyczna, duszpasterstwo i ruch ekumeniczny. Najważniejszym wydarzeniem w tym okresie życia Bonhoeffera jest — nie uchwycona w czasie ani przez niego samego, ani przez przyjaciół — głęboka przemiana wewnętrzna. Biografowie Bonhoeffera piszą wprost o nawróceniu, którego skutki stają się widoczne w jego życiu: zaczyna regularnie uczestniczyć w nabożeństwach, uprawia medytację Pisma Świętego, poszukuje wspólnoty modlitwy, a w zagadnieniach społecznych występuje jako zdecydowany pacyfista. Przyjaciele spostrzegają swoiste przerosty pobożnych praktyk, a niektóre ich formy spotykają się nawet z dezaprobatą otoczenia.

Naukowa teologia, którą Bonhoeffer uprawia zapamiętale, zostaje zrównoważona przez praktyczne świadectwo wiary. Sądzę, że to jest nader istotny i godny podkreślenia moment: jedność teologii i wiary. Wiadomo przecież skądinąd, iż w kołach kościelnych i teologicznych często daje się pierwszeństwo teologii kosztem wiary, i na odwrót. U Bonhoeffera teologia naukowa znajduje swoje uzupełnienie w wierze, a wiara ugruntowana jest na teologii. O tym nie tylko dobrze jest wiedzieć, taką postawę należy naśladować, więcej — lansować. Teologia w wydaniu Bonhoeffera dowodzi, jak błogosławione są skutki, gdy jest złączona z wiarą!

Rok 1933. Hitler obejmuje władzę. Urywa się kariera uniwersytecka Bonhoeffera, a on przyłącza się do ludzi, przygotowujących grunt pod założenie Kościoła Wyznającego *(Bekennende Kirche)*. Lecz nawet porozumienie z sojusznikami nie zawsze jest łatwe; z tego głównie powodu wyjeżdża jesienią 1933 r. do Londynu. Tam pracuje w zborze niemieckim; nie traci jednak kontaktu z ludźmi z *Bekennende Kirche*. Bierze udział w najważniejszym wydarzeniu ekumenicznym tego okresu, to znaczy w ekumenicznej konferencji młodzieży w Fanö (Dania) w 1934 r. podczas której opracowano dokument solidaryzujący się z postawą zajętą przez Kościół Wyznający.

Decyzją Rady Braterskiej Kościoła Wyznającego zostaje mianowany (lato 1935 r.) kierownikiem seminarium kaznodziejskiego w Finkenwalde (obecnie Zdroje — dzielnica Szczecina). To mu daje okazję opracowania swojej koncepcji teologi życia praktycznego, którą buduje w oparciu o Chrystusowe „Kazanie na Górze". Z jego wykładów seminaryjnych poświęconych „Kazaniu na Górze", powstała książka (1937), która stała się prawdziwym bestsellerem teologicznym; jej tytuł brzmi: *Naśladowanie (Nachfolge)*. Rozpoczyna się ona słynnym zdaniem, które obiegło cały świat: „Tania łaska jest śmiertelnym wrogiem naszego Kościoła". Bonhoeffer powiada: „... Tania łaska nie oznacza usprawiedliwienia grzesznika, lecz usprawiedliwienie grzechu... Tania łaska jest głoszeniem przebaczenia, lecz bez pokuty, jest chrztem nie łączącym się z dyscypliną zborową, jest Wieczerzą Pańską, której nie towarzyszy wyznanie grzechów ,jest absolucją pozbawioną osobistej spowiedzi. Tania łaska jest łaską bez naśladowania, łaską bez Krzyża, łaską z pominięciem żyjącego i ucieleśnionego Jezusa Chrystusa".

Eberhard Bethge, składając świadectwo o wykładach Bonhoeffera w Finkenwalde, napisał: „Uczył nas, żebyśmy we własnym życiu sprawdzili zagadnienie posłuszeństwa, a to w tym celu żeby poznać, iż tylko droga łaska jest łaską, gdyż tania łaska zrobiła z Kościoła stragan". Nieco wcześniej, w r. 1934, ukazała się praca Bonhoeffera *Schöpfung und Fall (Stworzenie i upadek)*, zawierająca część wykładów uniwersyteckich i poświęcona analizie trzech pierwszych rozdziałów Genesis. Przedostatnią pracą Bonhoefferowską, która ujrzała światło za jego życia, jest mała książeczka: *Gemeinsames Leben (Wspólnota życia)*, w której przedstawił koncepcję teologiczną ewangelicznej wspólnoty braterskiej, praktycznie realizowaną w Finkenwalde. Na rozkaz Himmlera, we wrześniu 1937 r. seminarium kaznodziejskie zostaje zamknięte i ulega likwidacji Wspólnota Braci. Władze odbierają Bonhoefferowi prawo wykładania. Od tej chwili nie ma on już stałego miejsca pobytu. Jest to także moment niezwykle ważny w jego życiu: Bonhoeffer przyłącza się bowiem do grupy spiskowców, skupiającej — obok polityków i wojskowych — także ludzi Kościoła i teologów. Celem jej działania było pozbawienie władzy Hitlera, przy czym — rzecz bez precedensu — spiskowcy nie wykluczali zamachu na życie führera. Bonhoeffer na równi z innymi bierze udział w przygotowywaniu tego zamachu i opracowuje plany przejęcia władzy; z jednej więc strony składa świadectwo, iż w okresie nacjonalistycznej Rzeszy istniały także „inne Niemcy", z drugiej — pracuje na konto przyszłości „nowych Niemiec" po przegranej wojnie.

Od 1940 r. pełni odpowiedzialne misje zlecone przez Kościół Wyznający i przez grupę spiskowców. Oficjalnie w służbie Abwehry, lecz faktycznie na polecenie spiskowców, odbywa trzykrotnie podróż do Szwajcarii, a także do Norwegii, Szwecji i Włoch. Jednocześnie rozpoczyna pisać *Etykę*, dzieło, którego nie zdążył ukończyć. Dotarło ono do nas we fragmentach, pieczołowicie zebranych w pewną całość i wydanych staraniem Eberharda Bethgego (I wyd. 1949). O *Etyce* Bethge wypowiada następującą opinię: „Gdyby wolno nam było rzecz całą uprościć, to można by tak powiedzieć: Bonhoeffer z lat dwudziestych powiedział teologom — waszym tematem jest K o ś c i ó ł! Bonhoeffer lat trzydziestych powiedział Kościołowi — twoim tematem jest ś w i a t! Natomiast Bonhoeffer lat czterdziestych powiedział światu — twoim tematem jest wyłącznie B ó g...".

Poczynając od próby przewrotu w r. 1938, aż do zamachu 20 lipca 1944 Bonhoeffer był poinformowany o wszystkich planach i inicjatywach grupy spiskowców.

24 grudnia 1942 r. Dietrich Bon-

hoeffer zaręczył się młodziutką Marią von Wedemeyer, lecz już 5IV1943 r. został aresztowany i osadzony w więzieniu śledczym Tegel w Berlinie, gdzie przebywał do 8 X 1944 r.

Po nieudanym zamachu Stauffenberga (20 VII 1944), gdy zostały znalezione kompromitujące go dokumenty, sytuacja Bonhoeffera gwałtownie się pogarsza. Nie udaje się ukryć jego współudziału w spisku na życie führera. W październiku 1944 r. zostaje przeniesiony do więzienia gestapo przy Prinz Albert Strasse, w lutym 1945 r. — do Buchenwaldu, a stamtąd (6 IV) — do Schönbergu. 8 kwietnia (I niedziela po Wielkanocy), wspólnie z innymi więźniami, prowadzi krótkie nabożeństwo i wkrótce po jego zakończeniu zostaje wywieziony do KZ Flossenbürg. Odbywa się nocna rozprawa sądowa, w wyniku której Sack, Oster, Canaris i Bonhoeffer zostają skazani na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano 9 IV 1945 r. Na chwilę przed egzekucją, lekarz więzienny, wchodząc do celi przygotowań, ujrzał klęczącego i modlącego się Bonhoeffera.

W teologii droga Bonhoeffera prowadziła od liberalizmu do „teologii Słowa", w praktycznym życiu — od koncepcji wspólnoty życiowej do solidaryzowania się z „pełnoletnim światem" *(mündige Welt)*, w chrześcijańskiej etyce — od naśladowania Chrystusa do wspólnego życia z Nim oraz do udziału w Jego cierpieniu. Tak więc udział Bonhoeffera w życiu politycznym był konsekwencją wiary skonfrontowanej z teologią — pisze Max Geiger. Bonhoeffer należał też do nielicznych jednostek, które rychło dostrzegły niebezpieczeństwo grożące Żydom. Wśród teologów tylko on, Kloppenburg i Vogel zareagował właściwie, zajmując zdecydowane stanowisko w kwestii żydowskiej. Inni teolodzy, a także całe koła chrześcijańskie, ruszyły w sukurs z ogromnym opóźnieniem, kiedy sytuacja Żydów stała się beznadziejna. W listach więziennych Bonhoeffera, w kilku miejscach brzmią zupełnie nowe myśli w porównaniu ze sformułowaniami z okresu przed uwięzieniem. Niestety, żadnej ze swoich myśli autor nie połączył z innymi rewelacyjnymi fragmentami poprzednich prac, ani nie wskazał, jak mają się one do jego poprzedniej teologii. Oto jeden z tych fragmentów, które powstały już w więzieniu:

„Kwestia, czym jest chrześcijaństwo i Chrystus dla nas dzisiaj, nieustannie mnie zajmuje. Minął czas, gdy można o tym było mówić ludziom słowami — słowami teologii czy pobożnymi słowami; nie ma już czasu na sprawy życia wewnętrznego i sumienia, a to przecież przede wszystkim oznacza religia. Zbliżamy

Dokończenie na str. 15

Księże Redaktorze!

Czy Ksiądz słyszał, że żyjemy w XX wieku? Dziwne pytanie, prawda? Ale proszę nie przecierać ze zdumieniem oczu. Ksiądz nie śni, a ja rzeczywiście pytam, czy Ksiądz Redaktor o tym słyszał. Oczywiście tak, i zapewne nie. Oczywiście tak, bo Ksiądz o tym wie i poznaje to na własnej skórze. A zapewne nie, bo... ale o tym potem.

Ten nasz XX wiek, to interesujące czasy. Warto w nich żyć. Podróże kosmiczne, transplantacje różnych narządów ludzkich, nieprawdopodobny wprost rozwój wiedzy, a w szczególności techniki, ale także — wojny, wojny, wojny, więzienia i mordy polityczne, obozy koncentracyjne, ale także przemiany społeczne — budzenie się sumienia świata, koniec kolonizacji, powstawanie nowych, samodzielnych państw. Interesujące czasy. Mimo wszystko warto teraz żyć.

Przypuszczam, że Ksiądz Redaktor nie spotkał się ze stwierdzeniem: „żyjemy w XX wieku" w takich sytuacjach, w jakich ja to słyszałem. Dlatego pytam od początku, czy Ksiądz słyszał, że żyjemy w XX wieku.

Ksiądz może nie uwierzy, ale spotkałem się z tym, że nieraz młodzi ludzie usprawiedliwiali swoje — delikatnie mówiąc — swobodne życie, a nazywając rzecz po imieniu — rozpustę, argumentem: żyjemy w XX wieku, wszystko uchodzi, wszystko można. Kiedy indziej młoda, 17-letnia dziewczyna, nie chcąc pomagać w domu swej matce — która haruje w pracy, a potem w domu, aby dzieci miały co jeść i w co się ubrać, aby mogły się bez przeszkód uczyć — mówi, że żyjemy w XX wieku, więc nie trzeba pomagać w domu.

Księże Redaktorze, myślę, że fakt, iż żyjemy w XX wieku może być powodem dumy, ale może być także powodem głębokich smutków i niepokojów. Warto zamyślić się głęboko nad tym wszystkim, co wypada nam przeżywać. Warto głęboko się zamyślić nad jednym ze znamion naszych czasów, szczególnie drugiej połowy stulecia, jakim jest niepokojąca swoboda obyczajów, niepohamowany erotyzm i seksualizm. Pokrywanie rozpusty lub braku serca dla matki powiedzeniem: „żyjemy w XX wieku" jest argumentacją ludzi półdzikich, „pierwotniaków". Można by z tego argumentu „pierwotniaków" serdecznie się uśmiać, gdyby to nie było zjawisko bardzo smutne i, w pewnych kręgach, tak powszechne.

Nieraz obserwuję rodziców, którzy cały swój czas i całe serce ofiarują dzieciom, a one przyjmują to jako należne im świadczenia „starych", nie dając wzamian nic, nawet szacunku i miłości. Dziwię się rodzicom, którzy nie umieją, a może czasem i nie chcą, wymagać od swoich dzieci (i to już od dość wczesnego dzieciństwa) świadczenia, w miarę ich sił i możliwości, różnych prac na rzecz rodziny i wypełniania określonych obowiązków w domu. Niech sobie myślą, że to „obyczaje średniowieczne", niegodne młodzieży XX wieku. Lepsi byli, Księże Redaktorze, ludzie mądrzy średniowiecza, aniżeli ludzie głupi XX wieku.

Z dużym uznaniem słuchałem pewnej wieśniaczki, która bardzo pochlebne świadectwo wystawiła młodym nauczycielom, uczącym w szkole w jej wiosce. „Dobrze nasi nauczyciele wychowują dzieci; uczą je szacunku dla rodziców, uczą pracy w domu i dla domu" — mówiła i przytoczyła tematy wypracowań, które dzieci musiały pisać o pracy w domu, o pomaganiu rodzicom. Czy to są, Księże Redaktorze, nauczyciele z minionej epoki? Myślę, że to są właśnie mądrzy ludzie XX wieku.

Jednakże bym chciał, aby młode pokolenie rodaków wyrastało jako pokolenie ludzi mądrych naszych czasów. Myślę też, że bardzo cenne rezultaty można osiągnąć w tej dziedzinie, idąc konsekwentnie śladem Tego, który powiedział: „Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Jemu służono, ale aby On służył i dał życie na okup za wielu".

Serdecznie Księdza pozdrawiam
WESS

się do epoki całkowicie niereligijnej. Ludzie po prostu nie mogą być dłużej religijni. Nawet ci, którzy uczciwie sądzą o sobie, że są »religijni«, swojej religii nie praktykują; pod pojęciem »religijny«, rozumieją prawdopodobnie coś zupełnie innego. Całe zwiastowanie chrześcijańskie i teologia, liczące 19 stuleci, opiera się na założeniu »religijnego apriori« w człowieku. Chrześcijaństwo było zawsze uważane za jedną z form (może za prawdziwą formę) »religii«. Lecz jeśli któregoś dnia okaże się, że to »apriori« w ogóle nie istnieje i że jest (czy było) tylko uwarunkowanym historycznie, przejściowym sposobem wyrażania się człowieka, gdy więc ludzie staną się radykalnie niereligijni — a odnoszę wrażenie, że mniej więcej coś takiego ma właśnie miejsce — to jakież znaczenie może to mieć dla chrześcijaństwa?... W jaki sposób Chrystus może się stać Panem także ludzi niereligijnych? Czy są niereligijni chrześcijanie? Jeśli religia jest postacią chrześcijaństwa — lecz i ta forma miewała w różnych czasach różny wygląd — to czymże jest wobec tego niereligijne chrześcijaństwo?... Do wyjaśnienia pozostawałyby więc następujące kwestie: czym jest Kościół, zbór, kazanie, liturgia, życie chrześcijańskie w niereligijnym świecie? Jak mówi się o Bogu — bez religii, czyli bez wszelakich, mających związek z czasem, założeń metafizycznych, związanych z przeżywaniem wewnętrznym etc etc?".

W liście z więzienia do swego syna chrzestnego pisał natomiast: „Nasze życie chrześcijańskie może się ostać tylko wtedy, gdy zostaną spełnione dwa warunki: modlitwa i czynienie sprawiedliwości wśród ludzi. Wszelkie myślenie, mówienie i organizowanie we wszystkim, co dotyczy chrześcijaństwa, musi narodzić się na nowo z tej modlitwy i czynu.... To nie nasza rzecz, żeby przepowiadać nadejście dnia; ale dzień taki nadejdzie, kiedy ludzie znowu zostaną wezwani, żeby głosić Słowo Boże tak, iżby świat cały został przez nie przemieniony i odnowiony. Język ten będzie zupełnie inny, możliwe że niereligijny, ale wyzwalający i zbawiający tak, jak mowa Jezusa, z powodu której ludzie gorszyli się, lecz dzięki jej mocy stawali się ulegli; (będzie to) język nowej sprawiedliwości i prawdy, język, proklamujący pokój Boga z człowiekiem i bliskość Jego Królestwa".

A żegnając się z przyjaciółmi, z Kościołem i światem, Bonhoeffer powiedział: „To jest koniec — ale dla mnie początek życia".

Opracowano na podstawie następujących materiałów: Eberhard Bethge, Dietrich Bonhoeffer. Theologe-Christ-Zeitgenosse, München 1967; Max Geiger, Bonhoeffer. Zeugnis in Kirche und Welt. Basel 1969; Anna Morawska, Inne Niemcy w Trzeciej Rzeszy, „Znak" 1969, nr 9 (183), s. 1098—1137; Dietrich Bonhoeffer, Widerstand und Ergebung. Briefe und Aufzeihnungen aus der Haft, München 1951.

MŁODA JEDNOTA

W niebie i na ziemi

Stwierdziliśmy: niebo jest to miejsce, gdzie przebywa nasz Pan. Ale jak połączyć twierdzenie, że Chrystus wstąpił na niebiosa i siedzi po prawicy Boga Ojca z twierdzeniem, że jest On wszędzie, jest z nami aż do skończenia świata, gdy (znowu pozorna sprzeczność) przyjdzie sądzić żywych i umarłych? Rozwikłanie tego leży zapewne w wypowiedzi Jezusa, z którą zwrócił się do swych uczniów, gdy im przepowiadał swoją śmierć: „... bo jeśli nie odejdę, Orędownik do was nie przyjdzie; jeśli zaś odejdę, poślę Go do was" (Jan 16:7), oraz: „wszystko co ma Ojciec, moje jest; (...) z mego weźmie i wam oznajmi" (Jan 16:15). A więc jest zawsze z nami Bóg, ale w swej trzeciej postaci, w postaci Świętego Ducha — Orędownika. Oczywiście rodzi się natychmiast pytanie — co to znaczy ta „inna postać". Jak rozumieć występowanie Boga w różnych postaciach. Najbardziej jest rozpowszechniony pogląd, że odpowiedź na takie pytanie leży poza zasięgiem ludzkich możliwości, ludzkich wyobrażeń. Jest to jednak pogląd czysto teoretyczny — w praktyce wszystko, co człowiek przyjmuje do swej wiadomości i świadomości, otrzymuje natychmiast jakąś formę dającą się wyobrazić. Gdy mówimy o falach radiowych, kojarzymy je (nawet zdając sobie sprawę z fałszywości takiego skojarzenia) z falami morskimi; abstrakcyjne pojęcia matematyczne — z konkretnymi formami materialnymi (często dzieje się to zupełnie podświadomie), a niebo — jednak z tym niebieskim nad głowami. Wobec tego spróbowaliśmy zestawić nasze opinie na temat wyobrażania sobie Świętej Trójcy. Okazało się, że skojarzenia były nad podziw zgodne, choć — być może — nieco naiwne: po prostu większość stosowała analogię do trzech funkcji. Np. pan X jest jednocześnie ojcem, mężem i lekarzem. W każdej z tych postaci wygląda zupełnie inaczej, działa przy pomocy zupełnie innych środków, ale zawsze pozostaje tym samym panem X.

Bóg w pewnym okresie naszego ziemskiego czasu działał jako Stwórca, Prawodawca, Ten, który przygotowywał świat, by móc nań potem przyjść w postaci Człowieka, a jeszcze później — w postaci Wszechogarniającego Ducha. Czy w takim razie może być jednocześnie jako Duch z nami, jako Ojciec i Syn — w niebiosach? A dlaczegóż by nie? Przecież jest wszechobecny, przecież zapowiedział, że w tej właśnie postaci będzie z nami! Jednocześnie jest ponadczasowy i tam, gdzie czas ani przestrzeń nie istnieją, gdzie znajdują się wszyscy zbawieni — ukazuje się w innych postaciach. Z naszego ziemskiego punktu widzenia, w danym nam do dyspozycji czasie, Bóg w innych postaciach jest nieobecny, jest w niebie. Nie należy przy tym zapominać, że zgodnie z tym, cośmy sobie poprzednio powiedzieli, czas tam nie jest odczuwalny, a wszyscy zmarli, niezależnie od momentu, w którym opuścili ten świat, znajdują się w oka mgnieniu i równocześnie na Sądzie Ostatecznym, przed obliczem Sędziego — Boga-Człowieka. Zreasumujmy. Niebo jest „miejscem" przebywania Boga i wszystkich zbawionych, „znajdującym" się poza czasem i przestrzenią, czyli poza tym, co nazywamy popularnie światem materialnym. (Cudzysłowy, w które ujęto tu słowa „miejsce" i „znajdujące się", są chyba jak najbardziej usprawiedliwione.) Bóg jest obecny również w naszym materialnym świecie, a w naszych konkretnie czasach działa w postaci Świętego Ducha.

I ostatni wniosek, może nieco żartobliwy: jak z powyższych rozważań wynika, czas jest bodaj najciekawszą formą istnienia materii i ten fakt, że nas nim obdarzono, należy odpowiednio ocenić. „13"

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

■ W ramach Oktawy Modlitw o Jedność Chrześcijan trwały nabożeństwa w wielu ośrodkach w kraju. I tak, nabożeństwa w Poznaniu zgromadziły luteran, reformowanych, baptystów, metodystów, polskokatolików i prawosławnych. Słowo Boże głosili następujący księża: Z. Tranda (ref.), J. Szarek (lut.), J. Ostrowski i J. Kus (met.), J. Pracz (p. kat.) i M. Stankiewicz (bapt.). Na nabożeństwie inaugurującym Oktawę śpiewał kwintet z Kościoła ewangelickiego (lut.) oraz duet z Kościoła baptystycznego, a podczas dwóch ostatnich nabożeństw — chór ewangelicki z Trzyńca (CSRS). Wszystkie zgromadzenia miały miejsce w świątyni augsburskiej. W związku z Oktawą, w „Przewodniku Katolickim" (nr 3/70) wydrukowany został artykuł informacyjny pióra ks. Jana Waltera, proboszcza parafii ew.-augsburskiej w Poznaniu. Tytuł artykułu: „Współpracownikami Bożymi jesteśmy". Również „Pielgrzym Polski" (2/70) donosi o żywych kontaktach protestancko-katolickich na terenie Poznania. Szkoda tylko, że nabożeństwa Tygodnia Modlitwy odbywają się co prawda w zgodnej intencji jedności, ale — niestety — ciągle jeszcze nie razem. Otrzymaliśmy informację, że Tydzień Modlitwy cieszył się dużą frekwencją w Kaliszu. Kaznodziejami byli tam: ks. ks. J. Sachs (lut.), Z. Tranda (ref.), J. Walter (lut.) i J. Feruga (lut.).

■ Dnia 23 II br. odbyło się zebranie Sekcji Szkół Niedzielnych przy PRE pod przewodnictwem ks. J. Karpeckiego. Głównym tematem była sprawa zorganizowania kursu dla pracowników Szkół Niedzielnych. Zebrani delegaci Kościołów członkowskich PRE uchwalili, że kurs taki odbyłby się w dniach 29 VI — 4 VII w Ośrodku metodystów w Klarysewie. Przewidziano uczestnictwo 5 delegatów z każdego Kościoła. Tematyka kursu obejmować będzie wykłady biblijne, metodykę nauczania, psychologię dziecka, historię Szkół Niedzielnych, rolę muzyki w nauczaniu dzieci. Przewidziane jest także przeprowadzenie przynajmniej jednej lekcji pokazowej z dziećmi.

■ Drugi z kolei Ekumeniczny Dzień Młodzieży zgromadził w godzinach wieczornych 23 II br. ponad 100 młodych przedstawicieli Kościołów PRE. P. Ewa Otello-Wiśniewska wygłosiła krótką prelekcję o ruchu ekumenicznym, a ks. Bogdan Tranda — pogadankę o Negro spirituals, ilustrowaną odpowiednią muzyką. Na tle religijnych pieśni murzyńskich recytowano polskie przekłady tekstów. Przedstawiciele Kościoła metodystycznego przygotowali na ten wieczór „Liturgię głodu" A. van den Heuvel'a (p. Jednota 5/68). Teksty odczytywano przy jednej płonącej świecy. Spotęgowało to ich wymowę, a dla zebranych było dużym przeżyciem, tym bardziej, że bezpośrednio po liturgii nastąpiło dzielenie się chlebem na znak solidarności i braterstwa z ludźmi głodnymi na całym świecie. Ks. B. Tranda przygotował uczestników do aktu tej symbolicznej komunii głęboką i porywającą modlitwą.
Organizowanie przez Sekcję Młodzieży przy PRE podobnych spotkań stanowi na pewno dalszy krok na drodze zbliżenia między Kościołami Ekumenii.

■ „Słowo Powszechne" z dnia 5 II br. opublikowało komunikat PAP z Moskwy, donoszący, iż w związku z dwudziestopięcioleciem wstąpienia na tron patriarchy moskiewskiego i całej Rosji Aleksego, premier ZSRR — A. Kosygin przesłał do Jubilata depeszę gratulacyjną. Patriarcha Aleksy ukończył 92 lata. Za swoje zasługi był czterokrotnie odznaczony medalami radzieckimi.

■ Na członków Komitetu Wykonawczego Komisji Kościelnej do Spraw Międzynarodowych ŚRK wybrani zostali ostatnio dwaj przedstawiciele Kościołów wschodnioeuropejskich — ks. doc. dr Witold Benedyktowicz (Polska) i prof. N. Nicolaescu (Rumunia). Kadencja nowego 15-osobowego Komitetu Wykonawczego będzie trwała trzy lata. Jest to pierwszy wybór przedstawiciela Polski do jednej z agend ŚRK.

■ Po wizycie (w dniach 28—30 I br.) trzyosobowej delegacji Unii Kościołów Ewangelickich NRD w Światowej Radzie Kościołów w Genewie, z rewizytą do NRD przybyła w lutym br. delegacja Rady. Nowa inicjatywa przedstawicieli Unii Kościołów Ewangelickich w NRD nastąpiła w związku z oddzieleniem się Kościoła Ewangelickiego NRD od ogólnoniemieckiej organizacji kościelnej (EKD), która do jesieni ub.r. obejmowała swoim zasięgiem obydwa państwa niemieckie. W komunikacie wydanym po wizycie przedstawicieli Kościołów ewangelickich NRD w Genewie stwierdza się, iż sprawą do uregulowania jest sposób i forma przyjęcia Unii Kościołów NRD do Rady. Wiążąca decyzja w tej sprawie zapadnie podczas posiedzenia Komitetu Naczelnego ŚRK, który będzie obradował w styczniu przyszłego roku w Addis Abebie. Komunikat podaje jednakże, iż Unia Kościołów Ewangelickich NRD będzie pozostawała w stałym kontakcie ze Światową Radą Kościołów.

OFIARY NA WYDAWNICTWO

M. Eitner — 100 zł; pp. Kopeć — 52 zł; Jakub Held — 70 zł; Jan Turnau — 52 zł; Z. L. — 100 zł; H. B. — 20 zł; F. Zielińska — 20 zł; W. W. F. — 50 zł; Matylda Smosarska — 50 zł; Halina Karpińska — 50 zł; Karol Stanclik — 100 zł; Jerzy Olszan — 50 zł; Paweł Barabosz — 50 zł; ks. Teodor Lenkiewicz — 52 zł; Eugenia Staszkiewicz-Glaza — 52 zł; Anna Brzeczkowska — 50 zł; Franciszek Augustyński — 200 zł; ks. Karol Kubisz — 50 zł; Jan Lorek — 22 zł; Nina Fajans — 50 zł; A. Staniszewska — 100 zł. Dziękujemy!

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, al. Świerczewskiego 76a (tel. 31-23-83). Prenumerata w kraju: roczna — 48 zł, półroczna — 24 zł, kwartalna — 12 zł, numer pojedynczy — 4 zł. Prenumerata zagraniczna dwukrotnie wyższa. Konto: PKO Warszawa. VIII O.M. Nr 153-14-920651. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 4 zł

Prasowe Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, ul. Smolna 12. Nakład 1800. Obj. 2 ark. druk. Zam. 471. K-26.